

PARADA



ROK IV

WTOREK, 1 STYCZNIA 1946 R.
TUESDAY, JANUARY 1, 1946

Nr 1 (71)

CENA EGZEMPLARZA: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d.,
we Włoszech 12 lirów, we Francji 5 fr., w Niemczech 1 Mrk.



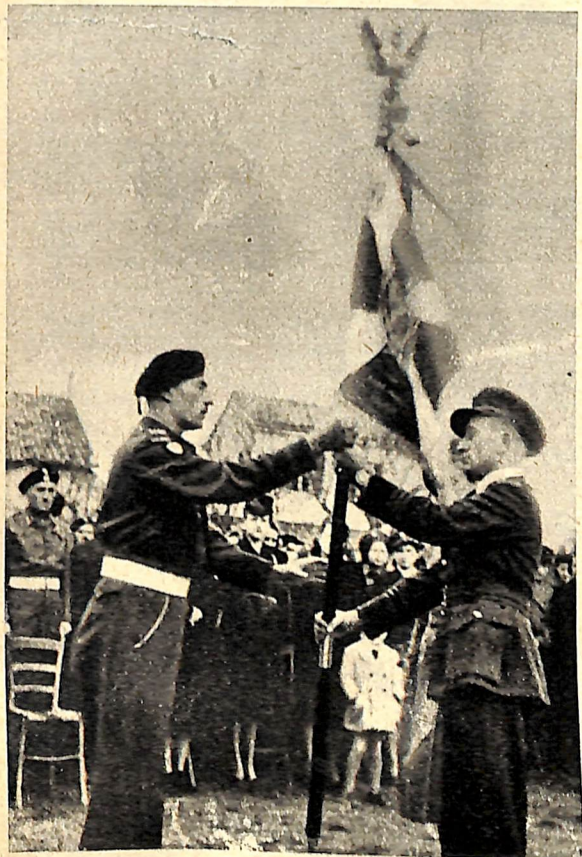
Sztandar Pułku Ułanów Karpackich ufundowany przez społeczeństwo polskie w Rzymie



↓ Dca Pułku Uł. Karpackich przyjmuje sztandar pułku z rąk Dowódcy Korpusu

Z ŻYCIA 2 KORPUSU

Dowódca 318 Gdańskiego Dywizjonu wręcza Dowódcy 2 Korpusu sztandar ofiarowany pułkowi Ułanów Podolskich przez lotnictwo polskie ↓



Poczet sztandarowy pułku Uł. Karpackich odbiera sztandar z rąk Dowódcy



UCHODZTWO POLSKIE W LIBANIE

KORRESPONDENCJA WŁASNA „PARADY” - JAN KIELEWICZ

W Libanie przebywa obecnie większa liczba uchodźców polskich. Niebawem ilość ich wzrośnie do paru tysięcy. Polscy uchodźcy przybywają z Iranu, a częściowo i z innych krajów Środkowego Wschodu.

Polacy spotykają wiele życzliwości, przyjaźni i zrozumienia zarówno ze strony władz republiki jak i ludności.

Poniżej drukujemy reportaż specjalnego wyśtannika „Parady” Jana Kielewicza oraz artykuł prof. St. Kościatkowskiego o historii stosunków polsko-libańskich w przeszłości. Dziś Liban staje się największym skupiskiem uchodźstwa polskiego na Środkowym Wschodzie.



Rozrzutnie rozproszyła nas wojna po świecie. Rozstaliśmy się z Krajem, rozbiegli po obcych ziemiach. Uchodźstwo nasze zamieszkuje obecnie wszystkie części globu ziemskiego, od Meksyku poprzez Afrykę i Indie aż do odległej Nowej Zelandii. Wszędzie, garściami, rozsiał Polaków wir wojny, zatrzymał — nielitościwszy od niej pokój. Dorastają dzieci z obrazem Polski, wyczytanym z podręczników, dogasają starcy w tęsknocie za tym, co nie doczekało się spełnienia.

Do wielu krajów, które przemierzył nasz uchodźca, przybył nowy — Liban. Kraj kultury chrześcijańskiej, zamknięty obwodem islamu. Chryścianizmu, wchłoniętego za czasów Apostolskich i zachowanego przez wieki w niedostępnych klasztorach, kościołach, dumnie sięgających nieba ze szczytów skalistych wierzchołków, kulturowanego w sercach i zbożnych obyczajach ludności malowniczych wiosek. Kraj ten obdarzył Polaków gościnną, przyjazną, serdecznością.

Polski ruch uchodźczy datuje się w Libanie od jesieni 1944 roku. Dzięki staraniom dra Zygmunta Zawadowskiego — posta pełnomocnego R. P. przy rządzie libańskim i dziekana korpusu dyplomatycznego — oraz obsady poselstwa

można obecnie urzeczywistnić życzenia części naszego uchodźstwa i osiedlić ją w Libanie. Warunki klimatyczne, dogodniejsze niż w Iranie, chrześcijański charakter kraju, przyjazny stosunek władz administracyjnych i mieszkańców pociągają uchodźców. Poza tym — co nie jest bez znaczenia — Liban jest krajem „in bounds” dla żołnierzy, urlopowanych w celu odwiedzenia rodzin.

We wrześniu 1942 roku przebywało w Libanie zaledwie 11 uchodźców i 16 studentów-medyków. Ci ostatni, przeważnie odkomenderowani z wojska lub obozów palestyńskich. W ostatnich miesiącach 1943 roku grupa studencka liczyła już 77 osób. Ta grupa awangardowa wszczęła uwieńczone powodzeniem starania o przeniesienie tu swoich bliskich, czym dała początek większemu napływowi uchodźców. Na początku 1945 kolonia polska osiągnęła niespełna 500 osób i 144 studentów.

Polonia libańska liczy obecnie około 2700 osób i 300 studentów. Do końca stycznia przyszłego roku wszyscy Polacy z Iranu, z wyjątkiem nieznacznej grupy, zostaną przetransportowani do Libanu. Wtedy liczba uchodźców wzrośnie znacznie, tak że wg. wstępnych obliczeń, dzieci w wieku szkolnym będzie około 1200, zwiększy się, rzecz jasna, i ilość studentów.

Transport Polaków z Iranu odbywał się dotychczas samochodami (angielskie towarzystwo NEARN), obecnie zastosowano kolejowy — via Bagdad, przez Turcję do Aleppo. Transport jest zorganizowany na dwie części trasy przez oddziały brytyjskie North Levant. W Aleppo oczekuje przybywających komisja polska z ramienia delegatury MP i OS i placówki Biura Pomocy Rodzinom Wojsk w Bejrucie. Ostatni transport (432 osoby) przybył 26 listopada.

Sześć kilometrów od Bejrutu, na wybrzeżu opodal plaży San Simon znajduje się obóz przejściowy dla uchodźców przybywających z Iranu, zbudowany przez



Au journal polonais "Parada", avec ses felicitations pour ses efforts tendant au remaniement des relations libano-polonaises.

J. E. SZEIK BACHARRA EL-KHOURY
President de la Republique Libanaise

Le 20 Mars 1945

J. E. SZEIK BACHARRA EL-KHOURY, PREZYDENT REPUBLIKI LIBAŃSKIEJ
opublikował swoją fotografię z dedykacją redakcji „Parady”

Anglików. Pomieścić może około 300 osób. Przebywają w nim uchodźcy do czasu rozmieszczenia ich po osiedlach, co trwa zazwyczaj 2—3 tygodni. Rzędy namiotów, kilka baraków (kaplica, świetlica), placyk do gier, no i — kuchnia, łazienki, sklepik — wszystko, co tworzy dobrze urządzone obóz przejściowy. Namioty posiadają podłogę z płyt betonowych, łóżka, stoły i niezbędne urządzenia. Opiekę ogólną nad uchodźcami pozostawia urzędnik delegatury, medyczną — siostra PCK. Dzieci otrzymują zabawki: piłki, łopatkę, skakanki. Nadzór nad sierotami nie jest dostateczny, co należy tłumaczyć przejściowym charakterem obozu, a może i brakiem poświęcenia ze strony starszych, dysponujących aż nadto wolnym czasem.

Podkreślenia wymaga życzliwy stosunek władz angielskich, wykazujących pełne zrozumienie i uwzględniających wszelkie potrzeby uchodźstwa. Urzędnicy „Treasury Committee of Polish Questions” — to ludzie dobrej woli. Konsul gen. A. Watkinson, Dowódca Bryt. Wojsk Teryt. gen.

Pilleau, płk. Hodges, na którego sub-area znajduje się obóz, oraz mjr Grews czynią wszystko, co leży w ich mocy, dla ulżenia doli naszego uchodźstwa.

W Libanie znajdują się obecnie cztery osiedla polskie: Ghazir, Zauk Michael, Ajaltun i Bdadoun. We wszystkich zastosowano gospodarkę indywidualną, praktyczniejszą od systemu obozowego. Uchodźca otrzymuje 12 f. szt. (105 funtów libańskich) i na każde dziecko — 11 f. szt. zasiłku miesięcznie. Poza tym korzysta z bezpłatnej opieki lekarskiej i świadczeń natury ogólnej, bez których — przy panującej drożyznie — trudno byłoby żyć samodzielnie.

Najbardziej typowym ze wspomnianych osiedli jest Ghazir — najdawniej założony i dzięki temu najlepiej urządzone. Ghazir — mała wioska górską — położony jest 28 km od Bejrutu na ptn-zach od Juni, około 600 m ponad poziom morza, na pochyłości pnącego się uskokami terenu zbocza. Posiada piękną panoramę na zatokę junijską i rozległy widok na okoliczne wzgórza, a także na klasztor Beit

Str. 1: okładka Port na wyspie Rouad, na wybrzeżu Libanu fot. Brit. Min. of Inf.

Str. 2: fot. (1, 2) J. Michalski, K. Hryniewicz

Str. 4, 5: fot. Jan Kielewicz

Str. 10, 11: fot. inż. W. Ostrowski

Str. 12: fot. B. Skonieczny

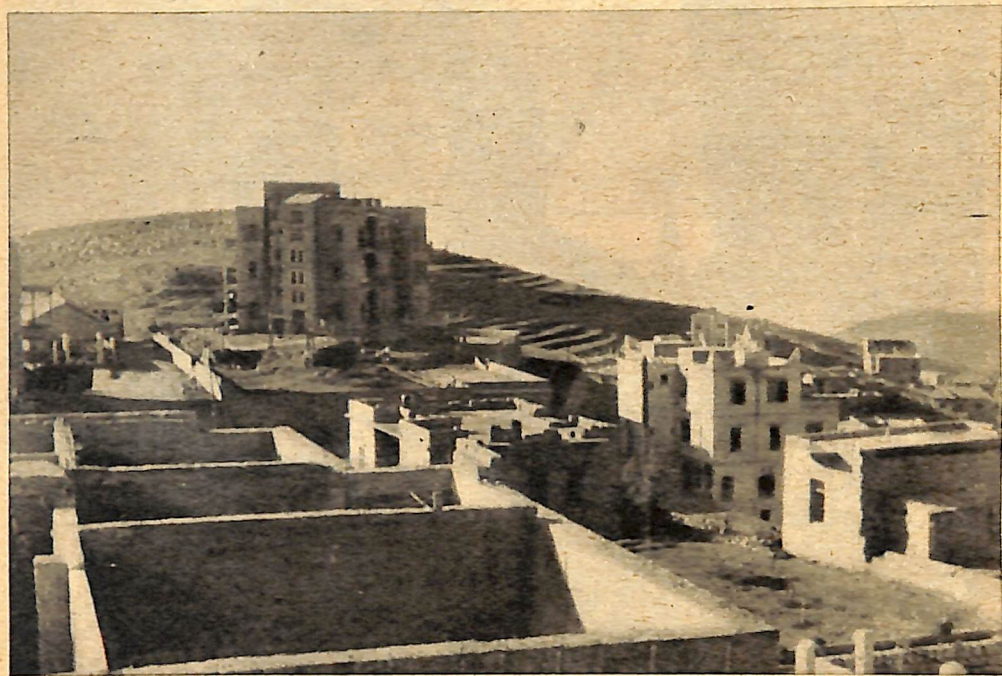
Str. 14: fot. „Life”, Brit. Min. of Inf.

Str. 16: okładka Patricia Roc w filmie „The Wicked Lady” fot. — Gainsborough

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI



Zauk Michael — dzieci polskie



Bhamdoun — widok ogólny

Mieszkanca Ghaziru Katarzyna Kołodziejowa — matka czterech żołnierzy 2 Korpusu



meblowała. Uchodźcy przybywali po 25 osób tygodniowo. Każda rodzina lub osoba samotna otrzymywała pokój, skromnie wprawdzie, ale schludnie i gustownie urządzone. Osiedle, początkowo przeznaczone dla 300, zamieszkuje obecnie 600 osób, w tym młodzieży szkolnej — 154, mężczyzn, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę — 80. Ta mała społeczność składa się z inteligencji, przeważnie z kategorii rodzin wojskowych.

Samotni a także ci, którzy nie mają czasu zajmować się kuchnią, korzystają ze stołówki, wydającej obiady po cenie kosztów (1 f. lib.). Obiady smaczne, pożywne. Z przydziału mąki, wynoszącego 10 kg miesięcznie na osobę, osiedle wypieka chleb we własnej piekarni. Chleb ten jest częściowo odprzedawany mieszkańcom Zauku. Śniadania i kolacje muszą wszyscy przygotowywać we własnym zakresie. Produkty żywnościowe można nabywać w wioskowych sklepach, aczkolwiek po cenach dość wysokich. Gorzej przedstawia się kwestia ubrania: ludzie donoszą ubrania dawne, nabyte w Iranie. Kupienie czegoś nowego, zwłaszcza butów, jest trudnym zagadnieniem.

Wśród uchodźców, rozporządzających wolnym czasem, ujawnia się tendencja do porzucenia bierności i pokierowania swym losem przez wykazanie inicjatywy prywatnej i społecznej. Istnieją kursy zawodowe i mniejsze warsztaty pracy. Na kursy języków obcych (francuski i angielski) uczęszcza formalnie 120 osób, na kursy księgowości, robót artystycznych i introligatorstwa — razem 80 osób. Istnieją kilka pracowni: szwalnia ornatów i szat liturgicznych, szyjąca bezpłatnie dla naszych nowowyświęconych księży i szwalnia zwykła, w której panie szyją swoje suknie; 5 maszyn do szycia rozdzielono po wsi. Niedawno temu ktoś bardziej przedsiębiorczy założył prywatną spółkę masarską, czym przyczynił się do ulepszenia i potania wyrobów mięsnych. Kiełkuje myśl założenia sklepu spółdzielczego, która zapewne wkrótce doczeka się urzeczywistnienia.

Cheszban, w którym Słowacki napisał „Anhellego”. Z dala — białe domki Ghaziru giną w gęstwie lasu sosnowego i zieleni. Ze szczytowego punktu rozkłada ramiona nad wioską olbrzymia figura Chrystusa.

Napływ uchodźców do Ghazir rozpoczął się od 12 stycznia 1945 r.; przygotowania trwały od września roku ubiegłego. Domy, posiadające wolne mieszkania, przeznaczone dla letników, wynajęta delegatura MP i OS, odremontowała i u.

Osiedle nie posiada izby chorych, natomiast czynne jest ambulatorium. Opiekę medyczną roztaczają: lekarz, lekarz-dentysta i pielęgniarka. W aptece pracują dwie panie — magisterki farmacji. Na ogół śmiertelność jest niska: w ciągu

Ghazir — w godzinach porannych mieszkańcy osiedla załatwiają wszelkie sprawy





Szpital dla chorych płucnych (Polish T. B. Hospital) w Bhamdounie

roku istnienia osiedla zmarł jeden, podszłego wieku uchodźca. Dotkliwy jest brak kąpieliska, szczególnie w porze zimowej, gdy z pobliskiego (6 km) morza niesposób korzystać. Władze angielskie przyrzekły uwzględnić to żądanie. Bardziej dokuczliwy jest brak opału i — co gorsze — pieców w domach. Naftowe piecyki, zakupywane przez uchodźców, nie na wiele mogą się przydać. Ze światła elektrycznego, z powodu słabego prądu, można korzystać dopiero od godz. 9 wieczór.

Położenie domów, rozrzuconych po terenie, połączonych galerijkami schodów, utrudnia wzajemny kontakt mieszkańców. Cięży to na życiu społecznym osiedla. Uchodźcy spotykają się zazwyczaj przed biurem kierownictwa, w oczekiwaniu poczty i gazet, bądź na imprezach, urządzanych często w dość przestronnej świetlicy.

Życie kulturalne nie przedstawia się jeszcze zbyt budująco. Biblioteka w Ghazir posiada zaledwie 500 książek polskich i kilkadziesiąt w językach obcych. Książki polskie — to rzeczy klasyczne, ogólnie czytelnikom ghazirskim znane, i nieco wydawnictw 2 Korpusu. W świetlicy wala się trochę przestarzałych czasopism. Przeciętnie raz w tygodniu wygłasza w świetlicy odczyt któryś z przyjezdnych z Bejrutu prelegentów.

Ghazir posiada szkołę powszechną, gimnazjum i liceum. Sale szkolne — proste, udekorowane częściowo pracami artystycznymi uczniów. Nauka odbywa się w godzinach rannych. Przyborów szkolnych dostarcza delegatura ministerstwa WR i OP. Siły nauczycielskie — fachowe, wybrane spośród uchodźstwa. Dzieci są dożywiane; zimową porą otrzymują gorące śniadania. Szkoły — to najbardziej budująca część osiedla. W otoczeniu szubackim i atmosferze rekreacyjnego gwaru, wizytujący ulega zupełnemu złudzeniu, że znalazł się w Kraju, w polskiej szkole, gdzieś w jakiejś podwarszawskiej czy podwileńskiej miejscinie.

Stosunek ludności miejscowej do uchodźców nacechowany jest życzliwością. Libańczycy żywo interesują się egzotycznymi dla nich przybyszami. Chętnie uczestniczą w uroczystościach polskich. Na sklepach wiszą szyldy i widnieją napisy w języku polskim. Dzieciarnia, polska i libańska, gwarzy swobodnie jakimiś makaronizmami, powstałymi z łatwiejszych wyrazów obu języków. Niektóre jednak dzieci polskie władają dobrze arabskim, a niektóre dzieci libańskie mówią znośną polszczyzną. U najmłodszych

zbliżenie stanowczo nie nasuwa problemów.

Podobnie przedstawia się położenie i w pozostałych trzech osiedlach. W założonym dwa miesiące temu Zauku ma się mieścić ośrodek szkół średnich, ewakuowany z Ispahanu wraz z gronem nauczycielskim i składem uczniów. Wioska ta, położona 18 km od Bejrutu na drodze do Ghazir, wznosi się 200 m ponad poziomem morza i jest zaledwie dwa km odeń oddalona. Malownicze ustronie, ukryte w sosnach i płaczących wierzbach. Opodal znajduje się wspaniała rezydencja patriarchy maronickiego, od wschodu — dominująca nad wybrzeżem statua Patronki Libanu (Madonna du Liban). Osiedle znajduje się w stanie organizacji, zamieszkuje go obecnie 600 uchodźców. Została tu założona szkoła powszechna, w

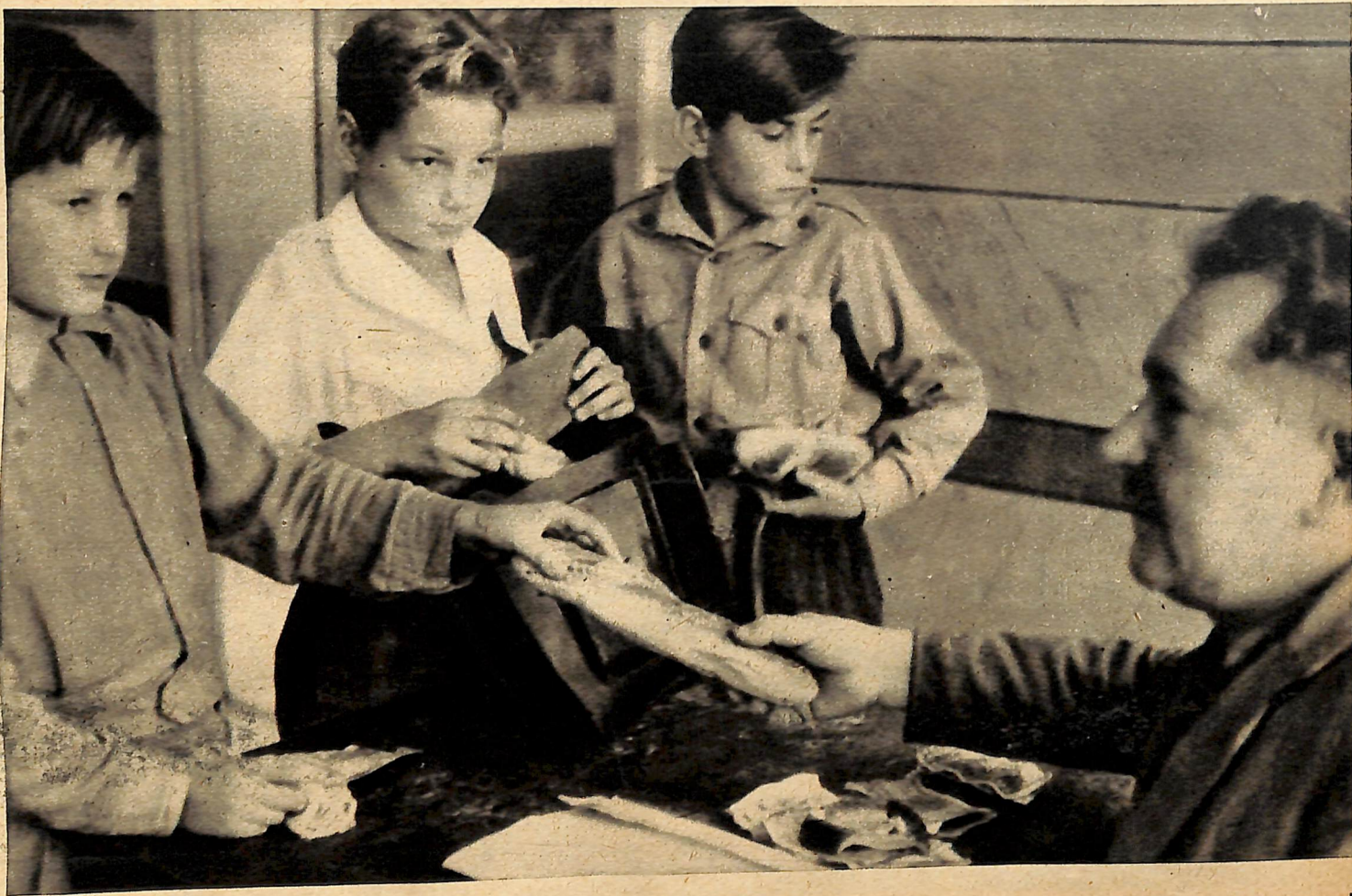
przewidywaniu — liceum ogólnokształcące i liceum krawieckie, a także internat dla sierot i dom dla starszych, samotnych mężczyzn. Zauk jest przeznaczony dla rodzin z dziećmi.

Ajaltoun — 15 km od Zauk, 900 m ponad poziomem morza, z rozległą panoramą na najwyższe szczyty Antylibanu, położony jest na płaskowyżu. Mieszka w nim 500 osób, przeważnie ludzie starsi wiekiem. Są tu nowsze domy, niż w Ghazirze. W projekcie — założenie szkoły powszechnej. Około 15 km od Bejrutu znajduje się czwarte osiedle polskie — Bdadoun, w którym zostaną ulokowani samotni i rodziny bezdzietne. Ilość uchodźców — obecnie około 500 osób.

W Bhamdoun mieści się szpital dla chorych płucnych (Polish T. B. Hospital). O nim — innym razem.

W osiedlach panuje zrozumiały nastrój tymczasowości. Trudno się zaaklimatyzować, zadomowić, gdy się odbiega myślą gdzie indziej. W tym tkwi tragizm uchodźczego położenia. — Co dalej? — nurtuje każdego z osobna. Mimo przeciwności, wszyscy pokładają nadzieję w ziszczeniu się sprawiedliwości, wierzą, że nienormalny stan minie, że sytuacja zmieni się na lepsze. W obecnym stanie rzeczy nie ma ludzi, chcących wrócić do Kraju, choć wszyscy tęsknią za Polską, z wizją której przemierzali wiele cudzych ziem. Tęsknią, cierpią i wierzą. Wierzą, że nadejdzie czas, gdy porzucą cudze osiedla i najserdeczniejszą bodaj przyjaźń, po to, aby wreszcie zamieszkać we własnych siedzibach na własnej ziemi.

Chleb własnego wypieku



Polacy a Liban i Syria w ciągu wieków



Klasztor św. Antoniego („Mar Tannios”) w Bei Chaszban pod Ghazirem, w którym Słowacki napisał „Anhellego”



Beirut — widok ogólny



↓ Cedry — symbol Libanu

Czy u stóp gór Libańskich i Antylibańskich Polacy w toku dziejowym podobną byli rzadkością, jak Libańscy lub Syryjczycy w Polsce? Czy nigdy, lub kiedyś mianowicie dawniej, i w jakim charakterze przybywali Polacy do tej ziemi, która obecnie daje im gościnny i uprzejmy przytułek?

Oto garść wyników poszukiwań wiążących się z tą kwestią.

Polaków, których w ciągu wieków los zanosił w te strony, podzielić można na kilka grup.

Pielgrzymi i księża. Przez dawną Fenicję, przez Syrię i Liban, prowadziła jedna z odwiecznych dróg do Ziemi Świętej. Tedy, z okrzykiem „Bóg tak chce!” przejęci ekstazą religijną, — poczynając od końca wieku XI-go, od roku 1096 przez dwa niemal wieki, przez wiek XII i XIII, szły tedy zastępy Krzyżowców, by wyzwolić Grób Zbawiciela...

Historycy stwierdzili, że w wyprawach krzyżowych, przynajmniej niektórych, uczestniczyli przedstawiciele rodziny Piastów, (np. Władysław II Śląski, najstarszy syn Bolesława Krzywoustego, i najmłodszy syn tegoż, a brat przyrodni poprzedniego księcia Henryk Sandomierski). Na pewno towarzyszyły im poczty rycerzy

polskich i sług, niestety nieznanymi nam z imienia. Byli to pierwsi rodacy nasi, o których wiemy, że mimochodem odwiedzili te kraje.

Płynęły też tedy i później fale pielgrzymów z Europy, wśród których byli i Polacy, niekiedy znani z imienia, jak np. ów słynny w wieku XVI Mikołaj Radziwiłł „Sierotka” zwany, który w roku 1583, dopełniając ślubów, podróż do Ziemi Świętej odbył i ją opisał, podając ciekawe szczegóły o Libanie i Syrii: zawadził o Bejrut, widział cedry libańskie, zwiedził Baalbek i Damaszek.

Sporo było też pielgrzymów, polskich w krajach podlibańskich w wieku XVII i XVIII. Zwiedził je w r. 1726 Tomasz Wolski, Ojciec Hieronim Lisowski, gwardian Bernardynów Kalwaryjskich w latach 1737 — 1745, ksiądz Józef Drohojowski w l. 1788-90, a Ojciec Eulogiusz Barcikowski, bernardyn, zmarł nawet jako przeor klasztoru Bernardynów w Tripoli w roku 1792.

Bawił również, jako pielgrzym do Ziemi Świętej, i zwiedzał szczegółowo Liban i Syrię około roku 1840, ksiądz Ignacy Hołowiński, znany w połowie wieku XIX-go pisarz, późniejszy arcybiskup metropolita Mohylewski, który Libanowi serdeczne wspomnienia poświęcił w swej bardzo niegdyś przez babki i prababki nasze czytanej „Pielgrzymce do Ziemi Świętej” (Wilno, 1842, 2 tomy).

Lecz z księży polskich, którzy z Libanem i Bejrutem zwłaszcza, związali na zawsze imię swoje, najstojniejszym był chyba Ojciec Maksymilian Ryłło, misjonarz jezuita, urodzony w roku 1802 w Podorosku na Litwie. Jako misjonarz na Bliskim Wschodzie w latach 1837-42, docierał aż do Mossulu w dzisiejszym Iraku, i stał się początkodawcą i założycielem t. zw. „Collegium Asiaticum” w Bejrucie, z którego z czasem miał się rozwinąć dzisiejszy Uniwersytet katolicki francuski im. Św. Józefa w Bejrucie. Zmarł ksiądz Ryłło, w wieku stosunkowo młodym, podczas innej swej wyprawy misyjnej do Sudanu w Afryce, w Chartumie, zmęczony trudami pracy apostołskiej, dnia 17. czerwca 1848 roku. Zwłoki, przewiezione do Kairu, w roku 1900 pochowano w grobach OO. Jezuitów.

Przeglądając „Księgi zmarłych” kościoła OO. Kapucynów pod wezw. Św. Ludwika w Bejrucie, odnajdujemy wiadomość, że 1. VIII. 1892 roku zmarł w Ohazirze pod Bejrutem, w klasztorze Św. Antoniego i tamże pochowany został, Polak „Rev. Pater Camillus a Varsavia” — wieloletni ojciec Kamil z Warszawy, kapucyn, misjonarz, licząc wieku swego lat 72, zaś powołania zakonnego lat 54.

I obecnie zgromadzenie OO. Kapucynów w Bejrucie wśród członków swoich liczy dwu Polaków, od lat wielu tu zamieszkałych. Są nimi: O. Peregryn Malinowski ze Śląska, znawca języka arabskiego, już od lat dwunastu pracujący w winnicy Pańskiej na gruncie tu-tejszym, który pełni obecnie obowiązki proboszcza uchodźców polskich w Bejrucie, oraz brat-zakrystjanin przy kościele Św. Ludwika, pracujący tutaj już od lat 35. Brat Rufin (w świecie: Leonard Otto) z Pułtuska, który jest żywą kroniką spraw tutejszych i uprzejmym informatorem o wszystkim, co dotyczy Polaków, zamieszkałych w Bejrucie w ostatnich latach kilkudziesięciu.

Drugą grupę stanowią, Polacy wojskowi. Bo nie tylko w czasie wypraw krzyżowych widziały w przeszłości Liban i Syria żołnierzy Polaków.

Po powstaniu listopadowym, w epoce t. zw. Misji egipskiej (1833-34) bawił w Syrii przez czas pewien gen. Henryk Dembiński z kilku oficerami polskimi, nosząc się z rozległymi planami reorganizacji armii wicekróla Egiptu Mehmed Alego, w którego posiadaniu Liban i Syria chwilowo pozostawały, i opracowując projekt połączenia Morza Śródziemnego kanałem poprzez Eufrat z Zatoką Perską. Polacy prowadzili wówczas w Libanie poszukiwania geologiczne oraz gospodarczo-rolnicze, które z czasem wielkie korzyści krajowi przynieść obiecywały. Badał go również w tych czasach gen. Ludwik Bystrzonoński (późniejszy Arslan Pasza) z ramienia księcia Czartoryskiego wraz z młodym Józefem Walewskim, który zmarł w roku 1834 w Damaszku.

Liczni wojskowi tułacz polscy wstąpili później, szczególnie w latach 1840-60 do służby wojskowej tureckiej. Wielu

z nich pełniło służbę w garnizonach, stojących w Libanie lub Syrii, niekiedy szukając drogi do wolnej Polski poprzez Islam. Niepodobna tu ich wymienić wszystkich, — wspomnijmy jedynie gen. Józefa Bema, który, jako Murat Pasza, 10. XII. 1850 zmarł w Aleppo w Syrii.

Wielką i pamiętną rolę odegrać mieli w Libanie żołnierze polscy, acz w obcych mundurach, dopiero po roku 1860. Jak wiadomo, po strasznej rzezi chrześcijan, z roku 1860—61 w Libanie i Syrii, dla ich ochrony rząd turecki zobowiązał się, na interwencję Francji i Anglii, mianować, jako generał-gubernatorów Libanu, wyłącznie chrześcijan oraz utrzymywać, w celu zapobieżenia zamieszkom na przyszłość, pułki, złożone z chrześcijan, i pozostające pod komendą oficerów chrześcijańskich.

Przyznać trzeba, że Turcja usiłowała wiernie dochować wziętych na siebie w tym kierunku zobowiązań, a tradycja miejscowa przechowała pamięć, że jednym z tureckich generał-gubernatorów Libanu był Polak-katolik. Z akt kościelnych okazuje się, że był to zmarły dnia 28.VI 1907 roku Władysław Aleksander Stanisław Czaykowski, inaczej Musafa Pasza, ur. w Paryżu, zmarły w Bejrucie, pochowany w Konstantynopolu.

Utworzony po wojnie krymskiej (1854-55) z polskiego pułku kozaków otomańskich Sadyk-Paszy Michała Czaykowskiego II-gi pułk dragonów otomańskich, złożony był niemal wyłącznie z Polaków. Po roku 1861 przez długi szereg lat stacjonował w Bejrucie, Tripoli oraz innych miastach i miasteczkach Libanu, znakomicie się przyczyniając do załagodzenia zadrżnionych między chrześcijanami a muzułmanami stosunków i do ustalenia ładu oraz spokoju wewnętrznego. Ludność Libanu dotychczas przechowuje najlepszą pamięć o pułku polskim, ze względu na panującą w nim humanitarność i uprzejmość, a jednocześnie karność i wysokie poczucie obowiązku. Jedynymi śladami po nim jest obecnie owa pamięć, tudzież nagrobki zmarłych żołnierzy polskich, rozrzucone po cmentarzach Bejrutu i Libanu, oraz zapisy zmarłych w aktach kościelnych.

Okazuje się z nich, że pierwszym dowódcą pułku polskiego dragonów był pułkownik Jan Gościmiński, noszący tytuł turecki „Tufan bej”, ale który był wiernym synem kościoła i — jak zaznacza Księga zmarłych — „Sakramenta kościoła pobożnie przyjąwszy, życie to opuścił, licząc lat 55, dn. 22.VII 1872 roku”. Następca jego był przyjaciel i zrazu podkomendny jego Ludwik Sas Monasterski, urodzony w miejscowości Kąty Lubelskie w r. 1826, emigrant polski z roku 1848, który po długiej tułaczce po lądach i morzach przez lat kilkadziesiąt mieszkał w Bejrucie i umarł tu w roku 1897, jako emerytowany pułkownik, otoczony powszechnym szacunkiem, z tytułem „Lutfi bej”. Na grobie jego, na cmentarzu katolickim Zeitune w Bejrucie, widnieje piękna sentencja: „Bóg daje śmierć, lecz również powołuje do życia”...

Rodzina tego dzielnego i zanego patrioty dotychczas mieszka w Bejrucie, przechowując ze czcią jego pamięć oraz tradycje polskie.

Ów pułk dragonów otomańskich stanowią jakby ostatnią po powstaniu styczniowym formację polską wojskową na obczyźnie, nosił mundury, bardzo zbliżone do mundurów ułanów polskich

Rezerwat cedrów, pokryty wlecznym śniegiem



z roku 1831, oraz, oprócz komendy polskiej, posiadał aż do roku 1882 szłandar biało-czerwony z krzyżem nad półksiężycem. Groby wielu żołnierzy polskich pułku tego świadczą o tym, że żołnierz polski, nawet w okresie największej beznadziejności, nawet w obcych szeregach, wytrwale zdążył najróżniejszymi drogami, między innymi przez kraje Środkowego Wschodu, — do swej Ziemi Świętej, do Ojczyzny wolnej... Tylko, że śmierć go nieraz z niezbadanych wyroków Bożych tam daleko w tej drodze na zawsze zatrzymywała...

Polacy, przygodnie przebywający w Libanie i Syrii lub też osiadli tam na stałe.

Najgłośniejszym był tu chyba Wacław Rzewuski, ekscentryczny hrabia, noszący przezwisko „Emira Tadż ul Fehra”, który w latach 1818—20, wraz z kilkorgiem służby przebywał w Syrii, zasłynął, jako nieustraszony jeździec i znawca koni, zyskał sobie wielu przyjaciół wśród Beduinów i miał się stać w przyszłości prototypem mickiewiczowskiego „Farysa”.

Z uczonych orientalistów polskich w pierwszej połowie wieku XIX-go bawił w Libanie i Syrii przez czas dłuższy w roku 1819—20 młody Józef Sękowski, filareta wileński, słynny, lecz później tak bardzo w społeczeństwie polskim oślawiony, który w Anturze koło Bejrutu uczył się języka arabskiego u uczonego księdza Aridy, maronity, oraz w roku 1833 Antoni Muchliński, późniejszy profesor języków wschodnich w Petersburgu i Warszawie.

Z poetów na pierwszym miejscu wymienić tu chyba należy Juliusza Słowackiego, który w roku 1837 przez Egipt i Palestynę przybył tutaj i bawił w ciągu paru miesięcy w Bejrucie i pod Bejrutem w Ghazirze. Tu, w klasztorze Św. Antoniego, zwanym Beit-chaszban („Dom wśród drzew”), stworzył arcydzieło swoje — Anhellego. W kilka lat po nim w roku 1848 bawił też tu przez czas dłuższy Józef Bohdan Zaleski.

Poza tym było wielu, wielu innych. Na przestrzeni ostatniego zgorą półtora wieku, możnaby wymienić nazwiska przeszło stu Polaków z różnych dzielnic Polski, którzy w różnych latach, krócej lub dłużej, tu przebywali, niejednokrotnie osiedli na stałe i życie tu zakończyli.

Są między nimi przedstawiciele nauki i literatury, np. przyrodnik zoolog Artur Janowski, oraz Karol Brzozowski, (ur. 1821, zm. 1904), który tu przez czas dłuższy przebywał i tu się ożenił. Są też kupcy i przemysłowcy, rzemieślnicy i technicy, zwłaszcza telegrafici, którzy — jak pisał jeden z nich — „siecią telegrafów i telefonów całą niemal Syrię odrutowali”, nauczyciele i lekarze, np. bardzo tu wzięci w pierwszej połowie XIX-go wieku dr. Adam Dobrowolski i dr. Ferdynand Sawicki, ten ostatni zmarły w Syrii około roku 1840. Wreszcie byli tu Polacy, przedstawiciele i pracownicy służby konsularnej i dyplomatycznej, zrazu obcej, jak np. konsul generalny Francji około roku 1881 Józef Adam Sienkiewicz bodaj syn emigranta i znanego historyka polskiego Karola Sienkiewicza, później po roku 1919 już polskiej. W roku 1943 Rząd polski w Londynie był pierwszym, który przez przedstawiciela swego, ministra Zygmunta Zawadowskiego, uznał całkowitą niepodległość Libanu i Syrii.

Wojna obecna rozpoczęła nową kartę w dziejach stosunków wzajemnych polsko-libańsko-syryjskich.

Różnymi drogami z różnych stron świata podążał żołnierz polski do miasta Homs (dawna Emessa) w Syrii, odległego o 380 klm. od Bejrutu, które stało się miejscem tworzenia się i postoju słynnej Brygady Karpackiej, nieśmiertelną okrytą chwałą na polach walki. Świerk na rękawie, przypominający cedr libański, jest tego faktu jakby wspomnieniem.

Od roku 1942 do wyższych uczelni bejruckich napływać zaczęła akademicka młodzież polska, by tu rozpocząć lub prowadzić dalej przerwane studia. Dzięki udzielonej gościnie poczęli przybywać wygnani i uchodźcy polscy. W Bejrucie i w okolicach podmiejskich: w Ghazirze, w Zugu, w Ażeltunie i inn. jest obecnie około 2700 Polaków. W Bhamdunie około stu żołnierzy polskich leczą chore płuca w sanatorium wojskowym polskim na stokach gór Libanu w czystym górskim powietrzu. W osiedlach polskich są czynne szkoły powszechne, gimnazja, kursa dokształcające, świetlice...

Słowem, liczne, coraz liczniejsze więzy łączą Polaków z krajami podlibańskimi, a wdzięczność za doznaną gościnę jest tu z pewnością łącznikiem nie najmniejszej wagi.



Bejrut — Plac Gwiazdy (Place de l'Etoile)



Hotel St. Georges, malowniczo położony na wybrzeżu





Bologna — Bazylika św. Stefana

Ktokolwiek dokładniej zwiadał pomnik Wiktora Emanuela na placu weneckim w Rzymie, nie mógł nie zwrócić uwagi na centralną jego część, obejmującą brązową statuetkę monarchy na koniu i marmurowy postument, pokryty 14 alegorycznymi rzeźbami, symbolizującymi najznakomitsze i najbardziej zasłużone miasta włoskie. O ile sam pomnik do dziś dnia budzi wiele zastrzeżeń i dyskusyj jeśli chodzi o jego wartość artystyczną, o tyle dobór owych kilkunastu miast, których osiągnięcia złożyły się na wielkość wkładu Italii do ogólnoludzkiej skarbnicy wiedzy, piękna i postępu — musi być uznany za zupełnie trafny. Jedną z owych alegorycznych postaci wyobraża Bolognię, i słusznie, bo mało które miasto włoskie posiada tyle tytułów do tego, aby napawać dumą każdego mieszkańca Italii, co właśnie Bologna.

Nie jest moim zamiarem opisywanie jej zabytków. Staliśmy w pobliżu Bologni zbyt długo i zbyt często mieliśmy możliwość przebywania w jej murach, aby nie zwiedzić wszystkiego godnego uwagi. Zresztą teraz, gdy jesteśmy daleko od Bologni, zaznajamianie czytelników z topografią miasta, jego wyglądem i zachowanymi zabytkami, przypominałoby przysłowioną musztardę po obiedzie, a poza tym nie ma w Bologni niczego, co po obejrzeniu Neapolu, Rzymu lub Florencji mogłoby olśnić lub zachwycić. Panorama miasta, oglądana z klasztoru San Michele in Bosco nie może przecież rywalizować z panoramą Florencji podziwianą z ogrodu Boboli, tak jak ta ostatnia znowu nie może równać się z przecudną panoramą Lwowa oglądaną z Wysokiego Zamku. Kościoły i pomniki Bologni przedstawiają się raczej skromnie po cudach „wiecznego miasta” i stolicy Toskanii, a słynne poniekąd symbolizujące Bolognię pochyłe wieże Garisenda i Asinelli stanowią raczej osobliwości architektoniczne, niż dzieła sztuki.

Gdzież więc leżą dowody wielkości indywidualności Bologni, skoro wzrokiem niesposób ich uchwycić? Czyżby ich nie było, a cała fama Bologni była rezultatem egzaltacji i przesady?

Nie, stanowczo nie. Bologna stanowiła i stanowi klejnot w bogatym skarbcu Italii, lecz urok jej i znaczenie nie leży w pięknie położenia, ani w obfitości zabytków, lecz w pracach i czynach jej synów i tych wszystkich, których imię związane jest z Bolognią.

Herb Bologni zawiera łacińskie słowo „libertas” — wolność. Słowo to w odniesieniu do Bologni jest jakby synonimem miasta. Na przełomie XI i XII wieku Bologna tworzy samodzielną republikę miejską. Wraz z innymi republikami miejskimi północnej Italii opiera się ona skutecznie zakusom imperatorów rzymsko-niemieckich na swą niezawisłość, a szczytowym punktem osiągnięć Bologni na polu obrony swej wolności jest bitwa pod Fossalta w 1249 r., w której bolończycy rozbili wojska Fryderyka II Hohenstaufa, a jego syna, Enza, króla Sardynii wzięli do niewoli. Prawda, że sukces bolończyków opłacił dożywością niewolą nieszczęśliwy Enzo, jednakże mniejszym złem jest niewola jednego człowieka, niż całej społeczności. Niewola Enza zresztą była tylko krokiem podyktowanym racją stanu republiki, a nie aktem nienawiści lub zemsty, dowodem czego choćby pałac króla Enza na placu Signorini w Bologni, w niczym nie przypominający średniowiecznych wież i nagrobek postawiony nieszczęsnemu królowi Sardynii w kościele św. Dominika, jednym z najgodniejszych miejsc wiecznego spoczynku, jakie Bologna mogła komukolwiek ofiarować.

Żyjące idea wolności miasto nie próbowało nigdy rozszerzyć swej potęgi przez podbicie sąsiednich stabszych republik, różniąc się tym od Florencji, która wielkość swą zbudowała na zniszczeniu niezawisłości Pistoii i Pizy, lub Wenecji, która zabrała wolność Padwie i Weronie.

Szanując wolność innych, Bologna nie uznawała niewoli w swych stosunkach wewnętrznych i nie tolerowała żadnych form poddaństwa, ani niewolnictwa. Pięknym tego dowodem było publiczne obdarzenie wolnością już w 1256 r. wszystkich niewolników na terenie republiki.

Mając tak piękne tradycje wolnościowe Bologna nigdy nie godziła się z przemocą i tyranją i żadne bodaj miasto włoskie nie wydało tylu bojowników o wolność Italii i męczenników za jej sprawę — jak właśnie Bologna. Tam po raz pierwszy w 1793 roku pojawił się trójkolorowy sztandar jako symbol jedności Włoch, tam wreszcie oddali życie za wolność i Italię Luigi Zamboni, Ugo Bassi i wielu, wielu innych.

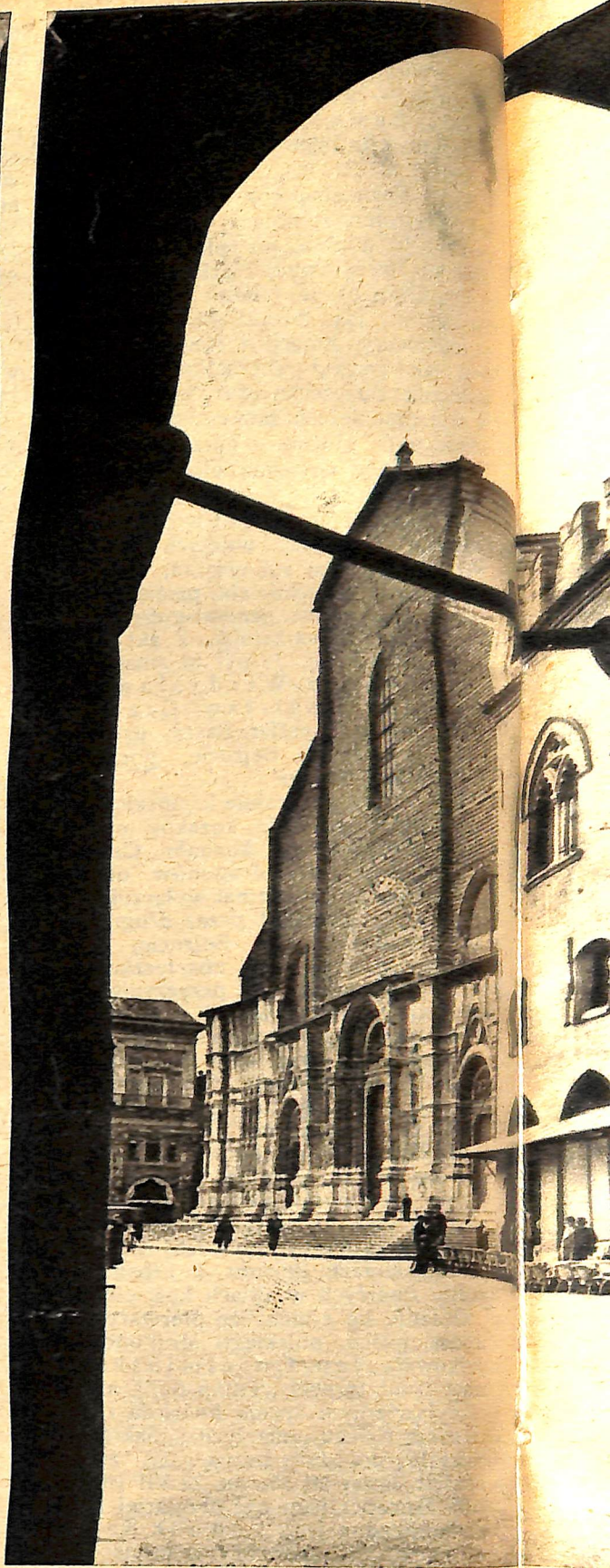
Bologna stanowi dowód, że wolność to nie frazes, ale największe i najcenniejsze dobro człowieka i ludzkości, wolność wszelako nie jest równoznaczna z samowolą i anarchią. Wielki myśliciel francuski Jakub Rousseau trafnie zaznaczył, że wolność oznacza podleganie prawu, a swoboda którejś jednostki nie może

ograniczać swobód drugiej jednostki, staje się bowiem wówczas niewolą i tyranją. Zadaniem prawa jest czuwanie, aby czyjaś samowola nie naruszała wolności innych. Stąd też społeczeństwo o tak silnie wyrobionym poszanowaniu wolności jak bolońskie, musiało posiadać równie silnie rozwinięte poczucie praworządności, a co za tym idzie, zając się bliżej samym pojęciem i istotą prawa. I tutaj zasługa Bologni wobec świata występuje w całej pełni. Już w końcu XI wieku powstaje w Bologni pierwszy uniwersytet na świecie, a z wydziałów jego największe znaczenie osiąga wydział prawny. Najpiękniejsze dziedzictwo, jakie rzymskie imperium pozostawiło wiekom, to jego prawo, ujęte w VI wieku przez Justyniana I w nieśmiertelny Corpus Iuris Civilis. Dzięki Bologni nie stało się prawo rzymskie skostniałym pomnikiem przeszłości, lecz instytucją żywą, rozwijaną, pogłębianą i skutecznie stosowaną do nowych warunków. Dzięki Bologni prawo rzymskie przetrwało stulecia i do dziś dnia stanowi kamień węgielny wszystkich nowoczesnych kodeksów i całej wiedzy prawniczej.

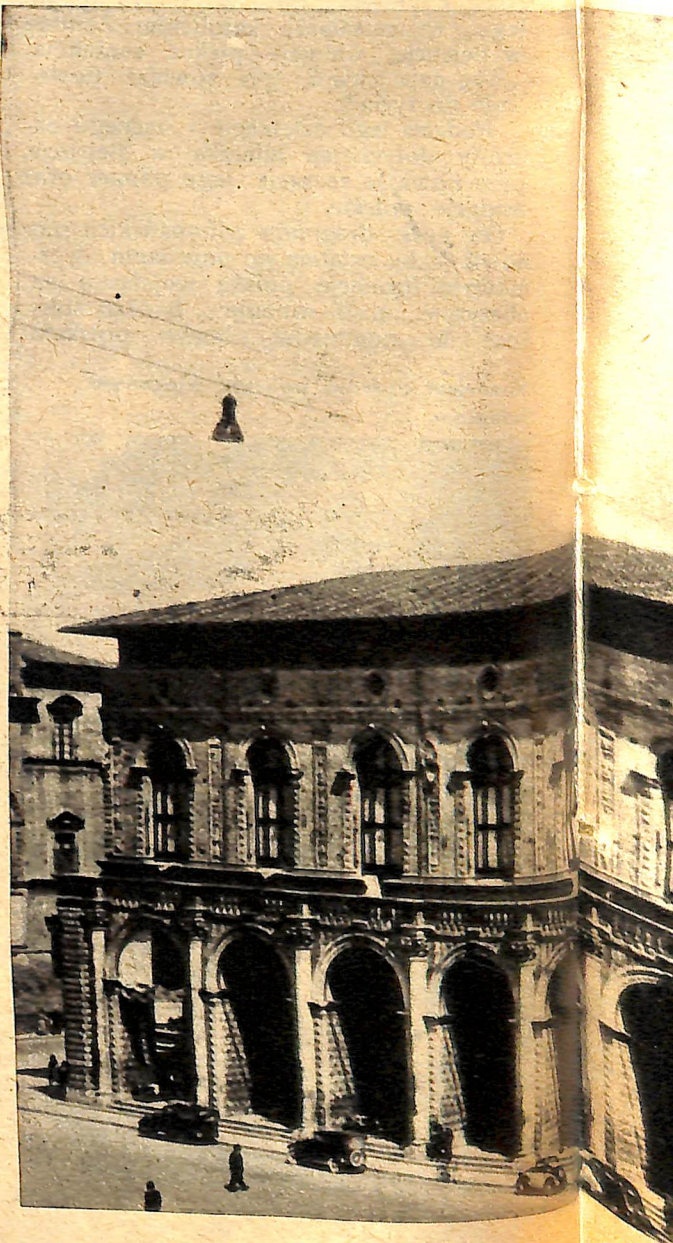
Innym działem prawa, niemniej niż prawo rzymskie bogatym i pięknie zbudowanym jest prawo kanoniczne. Bologna jest kolebką nauki tego prawa, tutaj bowiem w połowie XII wieku mnich Gracjan, profesor wszechniczy bolońskiej, tworzył swój sławny zbiór, zwany później Decretum Gratiani, a będący pierwszą kodyfikacją prawa kanonicznego. Najtępsi prawnicy na stolicy Piotrowej: Aleksander III (Roland Bandinelli), Innocenty IV (Sinibaldo Fieschi) i Benedykt XIV (Prospero Lambertini), to bolońscy profesorowie prawa kanonicznego. Bolończykiem był również papież Benedykt XV, któremu było sądzonym ogłosić w 1916 r. kodeks prawa kanonicznego, jeden z najdoskonalszych zbiorów praw wszystkich czasów i owoc wielu lat pracy, wieńczący ostatecznie tysiącletnią ewolucję tego działu prawa.

Zasługi wobec rozwoju wiedzy prawniczej to główny tytuł chwały uniwersytetu bolońskiego, ale bynajmniej nie jedyny. W dziedzinie nauk ścisłych na zawsze pozostaną z Bolognią związane nazwiska naszego wielkiego Kopernika, dalej papieża Grzegorza XIII, twórcy reformy kalendarzowej, Luigi Galvaniego, wielkiego pioniera badań nad elektrycznością, a w czasach najnowszych Wilhelma Marconiego, wynalazcy telegrafu bez drutu. Warto również zaznaczyć, że dwaj najwięksi poeci zjednoczonej Italii — Carducci i Pascoli, to również profesorowie literatury włoskiej na uniwersytecie bolońskim.

Niemniej olbrzymie zasługi jak w zakresie nauki posiada Bologna w dziedzinie sztuki. W dziedzinie muzyki należała Bologna zawsze do najwyższych centrów Italii i świata. Bolońska Akademia Filharmoniczna, założona w końcu XVII wieku, szczyty się nazwiskami Mozarta i Busoniego jako swych członków; opera bolońska pierwsza w Italii wprowadziła na scenę dzieła Wagnera, a Liceo Musicale



Pałac „Notai” i kościół św. Petroniusza



NA
LINII
ALEXANDRIA
BOLONIA

Korespondencja własna „Parady”
WIAROSŁAW SANDELEWSKI

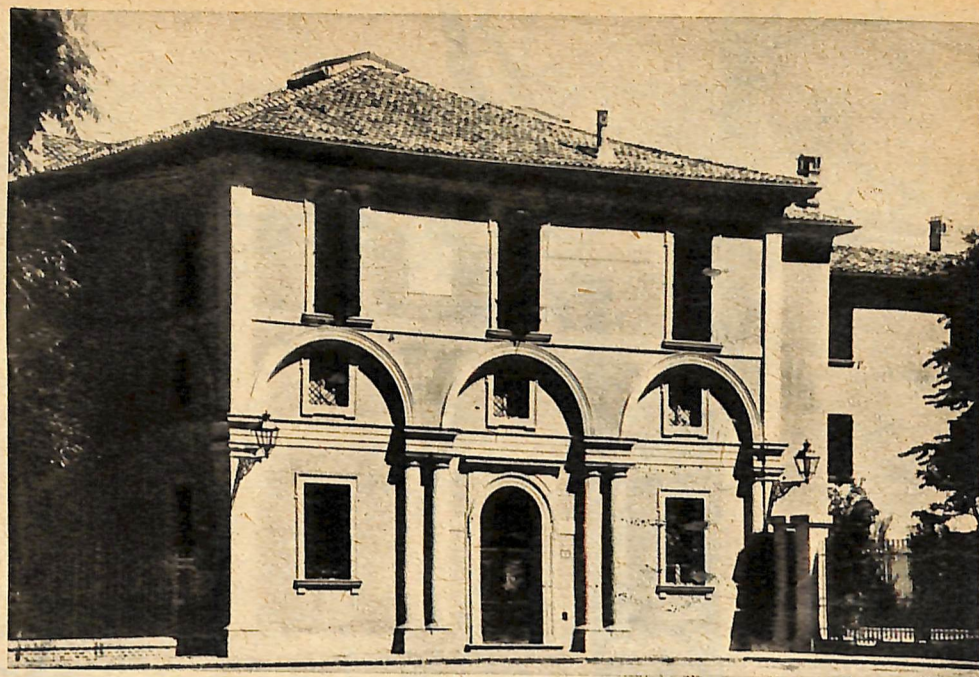
z olbrzymiej liczby swych uczniów przysporzyło historii muzyki nazwiska tak znakomite, jak Cherubini, największy obok Beethovena kompozytor na przełomie XVIII i XIX wieku. Rossini, nieśmiertelny twórca „Cyrulika Sewilskiego”, Donizzeti, jeden z najklasycystycznych przedstawicieli włoskiego „bel canto” i Respighi, największy bodaj symfonik włoski, należący obok Ravela, Strawińskiego i Szymanowskiego do najwybitniejszych kompozytorów czasów najnowszych.

W dziedzinie malarstwa Bolonia nie posiada wprawdzie nazwisk mogących rywalizować z geniuszami Florencji i Rzymu, niemniej jednak wielką jej zasługą pozostaje powstanie w XVII wieku t. zw. szkoły bolońskiej, która w okresie barokowych wybujałości i ogólnego psucia się artystycznego smaku, postawiła sobie za cel nawiązanie do wielkich tradycji renesansu włoskiego i dalsze tych tradycji kultywowanie. Bracia Carracci, Guido Reni i Domenichino — oto znakomici przedstawiciele tej szkoły. Zarzuca się wprawdzie artystom szkoły bolońskiej eklektyzm, ale nie podobna odmówić im dobrego smaku, dużej kultury, głębokiej wiedzy i co najważniejsze — sumienności i rzetelności. Szkoła bolońska stanowi dowód, że jeśli nie każdy artysta może być genialnym, to każdy, przy dobrych chęciach, talencie i pracowitości, może być solidnym, a to już bardzo wiele.

Z tych licznych, choć cytowanych raczej przykładowo, niż wyczerpująco, zdarzeń i nazwisk związanych z Bolonią, widać jak wiele ludzkość zawdzięcza Bolonii. Niewiele innych miast na świecie może pod tym względem rywalizować z Bolonią. Rola jej jest równą roli, jaką uprzednio odgrywały w świecie Rzym, Konstantynopol, Ateny i Aleksandria.

Aleksandria... Przy słowie tym myśl nasza mimowoli biegnie ku piaskom Egiptu i przebytemu żołnierskiemu szlakowi.

Aleksandria i Bolonia... Ileż uderzających analogii, ileż wspomnień kojarzy się u nas, karpaczków z obu tymi miastami. Aleksandria była przecież w starożytności ogniskiem nauki i sztuki równie ważnym, jak w średniowieczu Bolonia. Na przedpolach Aleksandrii rozpoczęliśmy zbrojny, marsz ciągnący się poprzez piaski Libii, piekło Cassina wybrzeże Adriatyku, góry Toskanii i równiny nadpadańskie do bram Bolonii. Obrona Aleksandrii była pierwszym naszym zada-



Dom Carducci

niem bojowym, zdobycie Bolonii — ostatnim. Do Aleksandrii wróciliśmy w marcu 1942 r. wstawieni Tobrukiem i Gazalą, tak jak później wkroczyliśmy do Bolonii okryci sławą bohaterskich walk nad Senio i Santerno. W czasie hamsinów i spiekoty pustynnej kierowaliśmy swe myśli ku miastu Aleksandria, w czasie śnieżyc zimowych i roztopów wiosennych znowu — ku nieznanej jeszcze, ale niemniej działającej na wyobraźnię stolicy Emilii. Tu i tam pozostawiliśmy licznych przyjaciół, którzy przyjęli nas z otwartym sercem, jak kogoś bardzo bliskiego i o których zawsze się będzie pamiętać. Tu i tam każdy z nas chętnie wróciłby razem na krótko bodaj, tu i tam wreszcie zostawiliśmy na zawsze naszych kolegów i towarzyszy broni. W Aleksandrii spoczywają snem wiecznym pierwsi karpacczykowie polegli na polu chwały, w Bolonii znów

znajdują się groby poległych Dywizji Karpackiej z ostatnich dni drugiej wojny światowej. Ten szlak bitewny Aleksandria—Bolonia, jeśli będziemy operować skrótami (instytucja wojskowa lubi skrót), możemy nazwać linia A—B, od pierwszych liter miast stanowiących jej krańce.

Wykreślając ową linię ślepy los obrał dwa chwalebne, sławne i piękne jej punkty wyjściowe, jak gdyby chciał dodać jeszcze więcej blasku całej owej trasie, równie chwalebnej, sławnej i pięknej, trasa ta bowiem — to szlak wspaniałego marszu, jednego z najdłuższych i najofiarniejszych w dziejach oręża polskiego na obczyźnie.

Dlatego też zawsze wspominać będziemy ciepło i serdecznie Bolonię, tak jak wspomniemy Aleksandrię i wszystkie inne miejsca, z którymi związała nas dobra i zła doła na karpackiej linii A—B.

Neptun z trójzębem — bóg głębin morskich



Rezydencja burmistrza Bolonii





Osiedle Morogoro. Pod baobabem poznałem Radę Osiedla

NAJMILSZY DZIEŃ

OD SPEC. WYŚLANNIKA „PARADY” — TEKST I ZDJĘCIA: INŻ. W. OSTROWSKI

Pomnik w Osiedlu Morogoro



Często zadają mi pytanie: które z poznanych osiedli naszych w Afryce Wschodniej uważam za najlepsze? Które jest najlepiej urządzone? Trudno mi na to odpowiedzieć. Jedno jest duże — drugie małe, jedno pięknie położone — inne znów zbudowano na płaszczyźnie ubogiej w drzewa. Są osiedla rozbrzmiewające głosami dziecięcymi i piskiem najmłodszych — a są znów kolonie, lata mieszkańców których liczy się chyba od... 50 w górę... Każde jest inne.

Ale w jednym spędziłem, że tak powiem, „najmilszy dzień”. Dlaczego był „najmilszym”? Po prostu dlatego, że zobaczyłem w tym malutkim, zaledwie 300 mieszkańców liczącym osiedlu, polskie społeczeństwo — takie, jakie chciałoby się widzieć wszędzie. Nie wypaczone odmiernością warunków bytowania, nieskócone plotkami i beczynnością, a zdolne do stworzenia życia społecznego i pracy społecznej. Taki mały odcinek polskiego życia — w ogromnej i bardzo odległej Tanganjce...

Prócz księdza, którego nawiasem mówiąc właśnie trząśł któryś tam atak malarii, nikogo w tym osiedlu nie znałem. Przyjechałem bez uprzedzenia. Od razu, przy wjeździe, powitał mnie szeroki uśmiech jakiegoś wścawca i pytanie:

— Pan do nas na stałe? Zaraz zaprowadzę pana do naszego kierownika, on już panu wszystko...

Nie, na stałe nie przyjechałem. Miałem zaledwie jeden dzień czasu. Kierownik osiedla inż. D. nie spotkał mnie pytaniem, na które właściwie nawet człek nie wie co odpowiedzieć: — co słyszałeś, a stwierdził po prostu, że jestem brudny (nocna podróż otwartą platformą towarówką), zaprowadził do umywalni, nakarmił i ułożył krótki „plan działania”:

— Obejdziemy całe osiedle. Taki ogólny rzut okiem. Potem zobaczy pan nasze kuchnie — dla całego osiedla gotuje się wszystko w kilku wspólnych kuchniach, potem zwiedzimy sklep-społdzielnię. Dzieciaki naturalnie trzeba zobaczyć w szkole — na lekcjach. Potem: pralnię, warsztaty szewski, spółdzielnię krawiecką, cegielnię (III), rzeźnię, magazyny. Ksiądz zapewne sam będzie chciał pokazać panu swoją farmę warzywną i hodowlę świń. Wie pan? On to wszystko prowadzi, by utrzymać dom starców, by dać im jak najlepsze warunki... O godzinie drugiej trzydzięci — szybki rzut oka na zegarek — wstąpimy do naszej piekarni, akurat będą chleb z pieców wyjmować. Po

obiedzie pojedziemy do „naszej misji”, musi pan zobaczyć Matkę Przełożoną, 35 lat prowadzi tu Misję Czarnych Siostr a sama pochodzi ze Śląska... Chcę również, by pan zobaczył „naszą” wioskę murzyńską — pracują dla osiedla, pracownię naszego artysty-malarza, zapoznał się z „naszą” Radą Osiedlową, no — a wieczorem — to już pan będzie musiał w świetlicy opowiedzieć nam jak żyje i jak walczył nasz Korpus...

— Ale przede wszystkim musi pan teraz pójść ze mną i poznać „naszego” komendanta osiedla — kapitana Williamsa.

Przed domkiem spotkałem grono dzieciaków. Przybiegły zobaczyć, czy to czasem... nie ich tatuś przyjechał z wojska. Oglądały mnie bachory z lekkim zażenowaniem. Mój Boże! tyle lat! Niejeden z nich chyba nawet nie bardzo pamiętał jak jego tatuś wyglądał...

Pan Williams jest brytyjskim komendantem osiedla (a inż. D. pełni funkcję polskiego kierownika osiedla i — współpracują doskonale) ale nie tylko komendantem, on ma — jeżeli tak można powiedzieć — serce dla osiedla, jest dumny z „ich” osiedla. Zastajemy go właśnie w czasie dawania lekcji języka angielskiego... swojej sekretarce. Jest (jak ona oświadczyła) bardzo wymagającym nauczycielem, a wynik taki, że dziewczyna po roku świetnie włada tym językiem.

Czy można o mężczyźnie powiedzieć, że jest czarujący? Jeżeli tak — to właśnie takim czarującym starszym panem jest kapitan Williams. Czarującym jest jego stosunek do sekretarki-uczenicy swojej, do mieszkańców osiedla, nawet w stosunku do tubylców-Murzynów w osiedlu pracujących jest pełen troskliwości...

— Leć pan! obejrzyj całe „nasze osiedle”, nie zapomnijcie również wpaść do „naszej” wioski Murzynów. Pogadamy wieczorem, młody człowieku (to niby ja — jestem tym młodym człowiekiem! Ale przecież mógłby mi być ojcem!). Przy szklance i cygarze. A i księdza zaprowadźcie. Och, ten ksiądz!...

Williams filuternie mruży oko...

„Ksiądz doprawdy mnie zaniedbuje. Troszczy się o dusze swoich parafian, o Murzynów się troszczy, tylko mnie... moją duszę angielską zaniedbuje...”

Zauważyłeś, Czytelniku, że parokrotnie podkreśliłem słowa: „nasze osiedle”? Zrobiłem to całkiem rozmyślnie, bo z tym określeniem spotykałem się przez cały dzień. Pokazywano mi „ich” spółdzielnię”. Duży i bardzo dobrze urządzony sklep. Taki — uniwersalny. I piwa tam można się napić i materiał na ubranie kupić. Tłumaczyli, że prosperuje na zasadach naszych starych spółdzielni „Społem”. Udziałowcem może być każdy mieszkaniec, a udział wynosi 5 szylingów. Mieli początkowo pożyczkę z delegatury na założenie...

„Ale, proszę pana, dawnośmy ją spłacili i już w zeszłym roku każdy z naszych udziałowców „dywidendę” dostał. Na udział spłacono 10 szylingów!”

Jest Zarząd i Komisja Rewizyjna. A pracownicy są zaangażowani „na procent”. Pobory dochodzą do 7 funtów miesięcznie.

I pralnię, również do Spółdzielni należąca, oglądam. I Spółdzielnię krawiecką. A szewcy mają „swoją prywatną warsztat”, i z amatorską skórą węzów wyprawiają.

„Tego pytona to wyprawilem, ale na buty nie dam. Do Polski zawiozę. Ma 7 metrów z czubkiem długości, dziwować się będą...”

W piekarni, „ich” piekarni osiedlowej”, wyjmowano akurat z pieców chleb, pachnące bochny polskiego chleba. Jakoś czarują tamtejsze gosposie, mieszają mąkę czy też ciasto jakoś inaczej zaprawiają, ale chleb jest doprawdy... polski. Mój Boże! Sześć lat takiego nie jadłem i dopiero aż tu, w Tanganjce...!

W magazynie materiałowym osiedla informowano mnie krótko i rzeczowo: ile i co każdy mieszkaniec obozu dostał i dostaje.

„Widzi pan? nie możemy się skarżyć, że goli i bosi jesteśmy. A tu — proszę popatrzeć, przygotowaliśmy...”

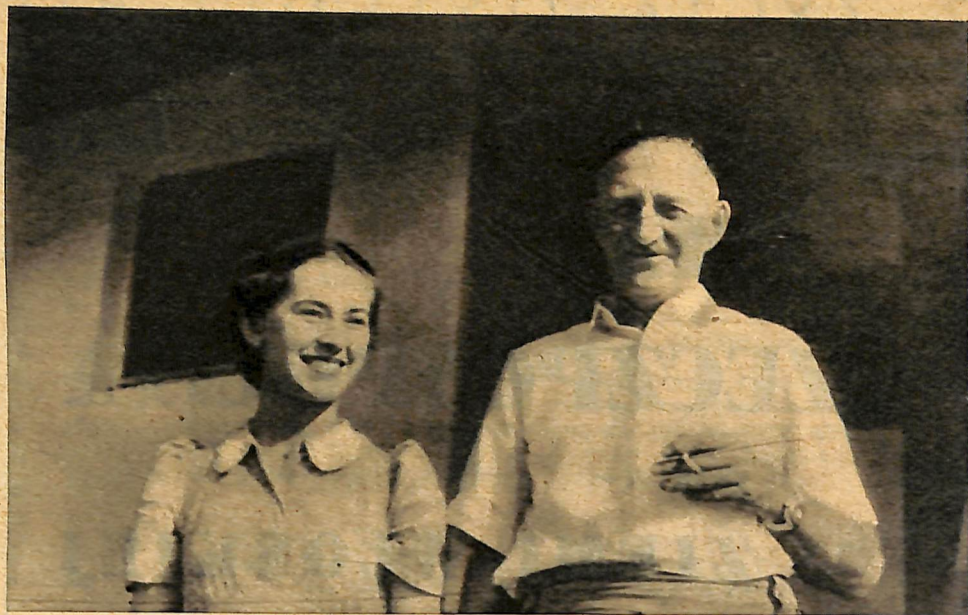
Oglądam 5 dużych pak z ubraniami, z obuwiem, z materiałem. To mieszkańcy osiedla zebrali na pomoc rodakom w doprawdy „bosej i głodnej Europie”. I nie jest to jałmużna, datek rzeczy niepotrzebnych i znoszonych! Niel Wszystko wysyła się zupełnie nowe.

„My byśmy, proszę pana, jeszcze więcej zebrali... z całego serca... aby tylko pewność była, że dojdzie tam, gdzie tak potrzeba tego!”

Czuję lekki skurcz w gardle i jakoś dziwnie ciepło na sercu się robi. Któż to zbiera te datki „dla naszych... w Europie”? Czy można tego świata? Czy ludzie, których wojna oszczędziła i teraz poczuwają się jednak do obowiązku?...



Matka Przełożona Amabilis i zakonnica z Misji Czarnych Sióstr



Kapitan Williams i jego uczennica — sekretarka

Przecież to są ci, co sami tak niedawno drogę kalwaryjską przeszli! Ci najlepiej rozumieją konieczność potrzeby! I jest to zaiste prawdziwa, biblijna „druga koszula”... dla bliźniego...

A potem ksiądz Godlewski pokazywał mi swoją „farmę” warzywną. Wykarczowane i do uprawy doprowadzone hektary. I chlew, co swoim przemysłem i pomocą „War Relief Service” buduje. I podwieczorek w „ich” domu starców zjeść musiałem. I do „ich” misji zawieziono mnie...

Jechaliśmy do misji przez aleję palm kokosowych, a Matka Przełożona spragnionych mlekiem z tych orzechów częstowała. Śliczną starą śląską gwarą Matka mówiła, czasami z trudem słowo potrzebne w pamięci odnajdując. Trzydzieści pięć lat! Tyle czasu tu w Afryce Matka Amabilis pracuje! I, jakkolwiek nigdy kobiet w rękę nie całuję — schyliłem się nisko do jej ręki spracowanej, bo widziałem, jak dziecko polskie do Niej ignęło serdecznie...

A siostry misji są czarne. I z nimi Matka mówi w ich języku tubylczym. Tylko... czym się nie przesłyszała?... witają mnie te siostry z Misji Sióstr Czarnych: „Niech będzie pochwalony”... Tu, w Tanganajce, polskie osiedle ma „swoją Misję”, a Misja murzyńska ma... „swoje osiedle”...

Radę osiedla poznałem pod wielkim baobabem, co pokraczne konary swoje pośrodku osady ku niebu wyciąga. Taką prawdziwą Radę, w powszechnym i bezpośrednim głosowaniu wybraną. Miałem zaszczyt z nią rozmawiać. Powtarzam jeszcze raz — miałem zaszczyt, bo ludzie to poważni i serio swój wybór traktujący. I byli sędzia — i stolarz, i nauczycielka — i weterynarz. Są takim małym parlamentem od spraw wewnętrznych, ludzkich — malutkiego osiedla.

A wieczorem w świetlicy zebrała się cała ludność osiedla. Chyba tylko najmłodsze dzieciaki spać ułożono. I musiałem im opowiadać o walkach i życiu naszego Korpusu. O Waszym życiu Koledzy... I pytaniom potem nie było końca. I prośbom o pozdrowienia najserdeczniejsze...

Już wychodziłem — jak ktoś za rękaw mnie złapał i pyta czy byłem przy wzięciu Bolonii:

— Bo to, proszę pana, tu leży chora. Nie mogła przyjść do świetlicy, a jej krewny... no wie pan? ten sztandar polski na szczycie najwyższej wieży w Bolonii?...

Czy mogłem nie pójść? Nie opowiedzieć?

Po kolacji siedzieliśmy u kapitana Williama. Rozmawialiśmy o sprawach osiedla. Za siatkami okien stała ciemna noc tropikalna, wysoko w drzewach srebrzyście dzwoniły cykady. I wtedy Williams zaczął opowiadać o Afryce.

Dawno minęła chwila, gdy wypadało już wstać i pożegnać się. Płynęły godziny, a ja wciąż siedziałem zaszuchany. Tak opowiadać mógł tylko człowiek bardzo mądry, bardzo dobrze znający kraj i bardzo ten kraj kochający...

Nie dużo czasu pozostało mi do przespania się przed wyjazdem.

Właściwie nie chciałem wymieniać nazwy osiedla. Było jednym z wielu, tylko że — spędziłem w nim „najmilszy dzień”. Powiem jednak, że nazywało się Morogoro. A powiem tak, bo przed samym moim wyjazdem z Afryki dowiedziałem się, że osiedle Morogoro zostaje rozwiązane, a mieszkańcy i komendant przejeżdżają do innego. Po prostu jakiś względ „wyższej miejscowej użyteczności publicznej”, jakiś obóz przejściowy dla wojska, czy coś w tym rodzaju.

Szkoda. Szkoda nie tej ślicznej góry wznoszącej się za osiedlem, nie tego olbrzyma - baobaba, klombów, fontanny, pomnika z Orłem i domków schludnych, a szkoda tego życia społecznego, co korzenie swoje tam głęboko puściło i tak pięknie się rozwijało. Szkoda tej „Duszy Osiedla”...

Wiem jednak, i mam stuprocentową pewność, że na nowe miejsce, na nowe siedlisko — oni tę „duszę” zabiorą. I znów ksiądz-społecznik będzie swoją farmę zakładał i o dom starców się troszczył, i Rada Osiedla pod innym baobabem będzie się zbierała, i inż. Dunin będzie znów się krzątał koło jakiejś tam kanalizacji osiedlowej, koło „ich kuchni”, „ich spółdzielni” i „ich piekarni”... Tacy już są to ludzie. Prawdziwi i twardzi.

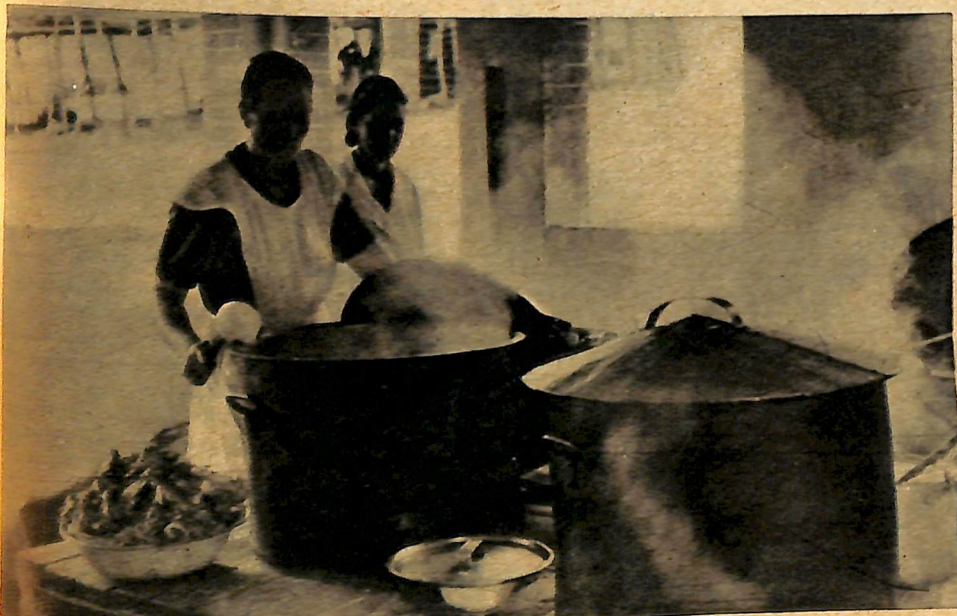
A kapitan Williams, wypróbowany przyjaciel Polaków, znów będzie patronował, uczył angielskiego i z dumą mówił o... „naszym osiedlu”.

Chciałbym byłym mieszkańcom Morogoro, jeżeli ten artykuł trafi im do rąk, przekazać — na nowym miejscu — moje najserdeczniejsze życzenie, aby ich nowe osiedle było duchem podobne do Morogoro. A w nowej pracy — Szczęść Boże.



Siedem metrów z okładem liczy ten pyton

Jedna z czterech wspólnych kuchni osiedla



Szewcy mają swój warsztat prywatny — a buty... niczym od Hiszpańskiego z Warszawy



MAŁA RZECZPOSPOLITA na ZIEMI WŁOSKIEJ

KORESP. WŁASNA „PARADY” — JANUSZ WEDOW

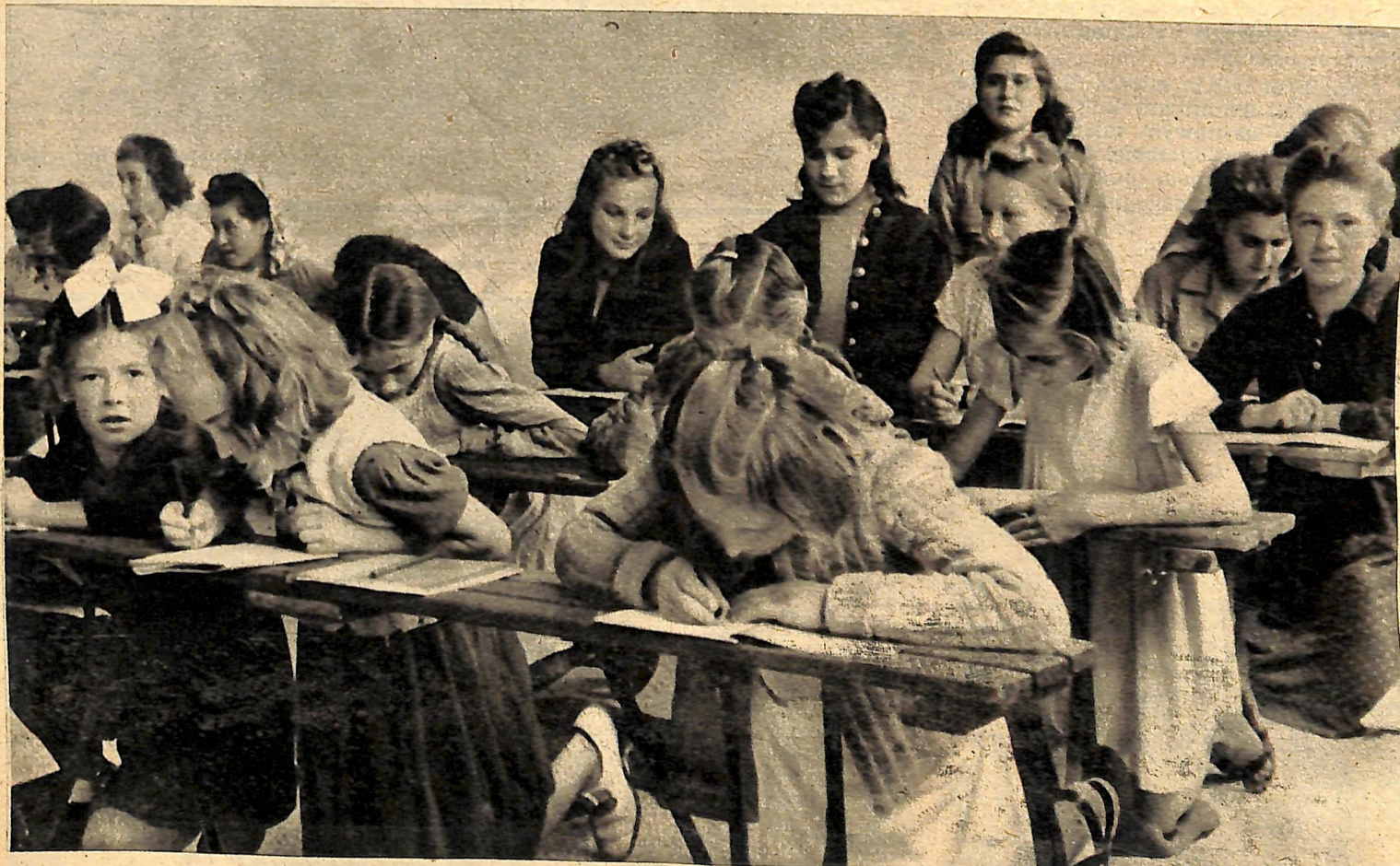
Mija już 5 miesięcy od chwili, gdy po ustaniu działań wojennych w Europie zaczęły napływać z rozbitych zwycięskim pochodem armii sprzymierzonych Niemiec i Austrii pierwsze transporty ludności polskiej, deportowanej z kraju na przymusowe roboty, zesłanej za druty niemieckich obozów koncentracyjnych lub wywiezionej do obozów pracy. Przyjeżdżały wtedy całe rodziny polskie, kobiety i małe dzieci, przyjeżdżali więźniowie z Oświęcimia i z Dachau, przyjeżdżali żołnierze Armii Krajowej — uczestnicy tragicznego powstania Warszawy. Nie chcąc powracać do okupowanej, zagarniętej przez wojska sowieckie Polski, wszystkimi możliwymi środkami i drogami jechali do Włoch wierząc, iż znajdą tam pomoc i opiekę polskiego wojska.

Na terenie zajętym przez 2 Korpus powstał wówczas szereg obozów przejściowych, do których kierowano przyjeżdżających uchodźców i w których spotykali się oni z pierwszymi objawami pomocy ze strony wojska. Korpus wziął na siebie całkowitą opiekę nad tą ludnością, starając się zabezpieczyć jej najbliższą przyszłość.

Dzisiaj okres obozów przejściowych, okres namiotów, początkowych trudności, przeszkód i prac organizacyjnych należy już do przeszłości. Dzięki inicjatywie i staraniom Dowódcy 2 Korpusu, generała Władysława Andersa, przy przychylnym ustosunkowaniu się władz alianckich i daleko idącej pomocy ze strony Allied Commission — powstały na południu Włoch w dwu miastach położonych nad brzegiem Adriatyku: Barletta i Trani, dwa duże osiedla polskie, w których zamieszkuje obecnie 6 tysięcy uchodźców.

Osady, oddzielone od siebie o 12 km. mieszczą się na terenie dawnych koszar

Barletta — lekcja języka polskiego



włoskich w nowoczesnych parterowych budynkach, z których część przeznaczona jest obecnie na bloki mieszkalne, w innych natomiast mieszczą się kuchnie, jadalnie, łazienki, warsztaty, świetlice, gospody, sale wykładowe, kaplice itd.

Wspominając w tym miejscu o urządzeniach osiedli należy już podkreślić poważny dorobek w dziedzinie organizacji i ulepszenia warunków życia uchodźcom, których to osiągnięć dokonano na przestrzeni krótkiego stosunkowo czasu. Zasługa to przede wszystkim 2 Korpusu, którego stała troska, opieka i pomoc materialna pozwalają na ciągłe ulepszenia oraz na szereg zamierzeń na przyszłość, w dziedzinie rozwoju osiedli i podniesienia w nich warunków bytu do poziomu normalnego życia.

Szczególą opieką otacza się w osiedlach dzieci i dorastającą młodzież. Wzorowo zorganizowane szkolnictwo jest jednym z najważniejszych osiągnięć na terenie osiedli. Istnieją dwie szkoły powszechne, męska i żeńska, posiadające na miejscu internaty, w których uczy się ponad 500 dzieci. W Trani P. C. K. prowadzi przedszkole dla 60 dzieci w wieku od 4 do 7 lat. W początkach listopada b. r. Wydział Oświaty 2 Korpusu zorganizował i otworzył w Trani ogólnokształcące gimnazjum i liceum wraz z 2 internatami, w którym uczy się obecnie około 200 dziewcząt i chłopców. Otworzona została również Szkoła Mechaniczna, przy której organizuje się obecnie specjalny warsztat i modelarnię.

Starsza młodzież kształci się w tak zw. Hufcu Przystosobienia Zawodowego, który posiada w tej chwili ponad 300 uczniów, a obejmuje kursy kierowców samochodowych, łączności i elektrotechniczny.

Istnieje oprócz tego cały szereg innych kursów, jak: kurs dokształcający dla dorosłych, kurs języków obcych, stenografii, a w krótkim czasie przewidziane jest otwarcie dalszych kursów: krawieckiego, rzemieślniczo-budowlanego, rolniczego, oraz spółdzielczo-handlowego.

Młodzież obu osad zrzeszona jest w organizacji: „Związek Młodzieży R. P.”, oprócz tego rozwija ożywioną działalność Z. H. P. Istnieje też klub sportowy „Polonia”, obejmujący wszystkie niemal sekcje sportowe.

Zarówno w szkolnictwie, jak i na wszystkich kursach pracuje wielu oficerów i żołnierzy 2 Korpusu, którzy zostali tam odkomenderowani jako nauczyciele i instruktorzy.

Dużą troską również otacza się tu matkę i dziecko. Polski Czerwony Krzyż otworzył w Trani doskonale urządzonego Domu Matki i Dziecka, mogący być wzorem dla podobnych instytucji zarówno pod względem warunków sanitarnych i opieki nad niemowlętami, jak też doskonałej szkoły wychowywania dzieci dla młodych matek.

Bardzo dobrze zorganizowana została na terenie osiedli opieka zdrowotna i sanitarna. W obu osadach i wszystkich szkołach czynne są ambulatoria i izby chorych. W Trani znajduje się szpital wojskowy o pojemności 350 łóżek, który przeznaczony jest wyłącznie do leczenia chorych uchodźców. Szpital posiada świetnie urządzone i wyposażony oddział położniczy oraz oddział chorób dziecięcych.

Dodać tu trzeba nawiasem, że do dnia 29.XI na oddziale położniczym ujrzało światło dzienne 90 młodych obywateli polskich i, rzecz ciekawa, w czterech piątych były to różowe, tłuste chłopakki, które z miejsca wypełniły białą, słoneczną salę dla niemowląt zdrowym, mocnym, obiecującym wrzaskiem...

Na terenie osiedli czynnych jest cały szereg warsztatów jak: krawiecki, szewski, trykotarski, hafciarski, stolarski, blacharski, samochodowy itp., istnieje też wytwórnia kiełbas i wędlin, oraz pracownia artystyczno-zabawkarska, które to warsztaty zatrudniają duży odsetek zdolnych do pracy mieszkańców osiedli.

Z inicjatywy uchodźców otwarta została spółdzielnia spożywczo-wytwórcza pod nazwą „Nasza Wspólnota”, która w pierwszym rzędzie ma zaspakajać potrzeby konsumpcyjne uchodźców, w drugiej zaś fazie zająć się uruchomieniem wytwórni spożywczych. Spółdzielnia posiada własny sklep, w którym sprzedaje się artykuły żywnościowe, artykuły pierwszej potrzeby oraz papierosy.

Przewidziane jest ponadto otwarcie dalszych warsztatów pracy, które mogłyby zatrudnić jak największy procent uchodźców.

Wiele uwagi i pracy poświęca się dla zorganizowania jak najszerszego życia kul-

turalno-społecznego w osiedlach. Poważny udział w tej akcji mają pracujące na terenie osiedli instytucje społeczne jak: PCK, YMCA, YWCA i S. P. K. P. (Akacja Katolicka). W osadach istnieją świetlice i gospody, biblioteki i czytelnie, w których dostępne są dla uchodźców wszystkie czasopisma i wydawnictwa wojskowe. Ostatnio otwarta była w obu osadach „Wystawa o Polsce” wraz ze stoiskiem książki polskiej, obejmującym wszystkie wydawnictwa 2 Korpusu oraz inne najnowsze wydawnictwa po skie.

W świetlicach odbywają się codziennie pogadanki, odczyty i prelekcje zarówno dla młodzieży, jak i dorosłych, dotyczące wszystkich dziedzin i zagadnień życia. W osiedlu Trani czynne jest amatorskie kółko teatralne, które dało już kilka przedstawień w sali teatralnej osiedla.

W obu osadach działają rozgłośnie megafonowe, nadające trzy razy dziennie audycje informacyjno-rozrywkowe, oraz audycje o charakterze specjalnym, jak: naukowe, literackie, muzyczne, oraz własne programy, na które składają się wykonane przez uchodźców deklamacje, koncerty, humor itp.

Soboty i niedziele są w osiedlach szczególnie ożywione, tłumne i gwarne. Ściąga bowiem wtedy na przepustki całą pielgrzymkę wojaków z Korpusu i Bazy, którzy podbiwszy serca co najładniejszym dziewczętom, okupują w te dni obie osady całkowicie i niepodzielnie.

Trudno jest w jednym reportażu zamknąć i zobrazować całokształt życia osiedli polskich we Włoszech. Niemniej jednak nawet z tego krótkiego opisu widać, że w ciągu tych paru miesięcy zrobiono naprawdę dużo, aby bezdomnym, wyrzuconym spod swych rodzinnych dachów ludziom, zmęczonym ciężkimi przeżyciami ubiegłych lat i wojenną tułaczką, zapewnić możliwie jak najlepszą egzystencję i dać takie warunki życia, w których mogliby doczekać bezpiecznie wolnego Jutra.

Życie w osiedlach płynie już własnym, odrębnym, polskim korytem, chociaż wokoło, tuż za rejonami osiedli jest obca ziemia, obcy ludzie, inne życie. Ale wewnątrz osiedli czuje się jakby Polskę, jakby Jej drobną część — przeniesioną jakąś siłą nieznaną nad brzeg błękitnego Adriatyku...

Na koniec kilka słów o utworzonym ostatnio przez uchodźców samorządzie osiedli. Utworzony został z zadaniem pomocy władzom wojskowym w zarządzie osiedlami oraz załatwiania w wewnętrznych ramach wszystkich spraw uchodźców. Samorząd powołany został na podstawie 5-cio przymiotnikowego prawa wyborczego, przy czym w wyborach wzięło udział około 70 proc. uchodźców. Obie osady zorganizowane zostały jako gminy i posiadają własne organy samorządowe, przewidziane w ustroju gmin według polskiego ustawodawstwa przedwojennego. W końcu listopada odbyło się inauguracyjne posiedzenie naczelnego organu samorządu uchodźców, Rady Społecznej, wyłonionej przez obie Rady Gminne, a powołanej do odegrania roli sejmiku uchodźców. Rada Społeczna, zebrała na swym pierwszym posiedzeniu, wysłała depeszę do Dowódcy 2 Korpusu, generała Andersa, w której dziękując za opiekę i pomoc, w imieniu całego społeczeństwa uchodźczego wyraziła niezłomną wiarę, że wraz z żołnierzami 2 Korpusu powrócą uchodźcy do prawdziwie wolnej i niepodległej Polski, podkreślając w końcu, że rozpoczęte przez Dowódcę Korpusu dzieło utworzenia osad polskich rozwija się i krzepnie, kształtując małą Rzeczpospolitą na ziemi włoskiej.

Stała troskliwa opieka i pomoc, którą otaczają żołnierze Korpusu polską ludność cywilną we Włoszech, należą już niejako do tradycji 2 Korpusu, który, począwszy jeszcze od Rosji, skupiał zawsze wokół siebie skazanych na tułaczkę, po obczyźnie Polaków, niosąc im w najbardziej krytycznych momentach materialną i moralną pomoc, oraz zapewniając im wszędzie takie warunki życia, w których spokojnie mogą przetrwać chmurny okres niewoli i okupacji Kraju, aby powrócić z nim kiedyś razem do Polski szczęśliwej, wolnej i prawdziwie niepodległej.

TADEUSZ WITLIN

Ildefons

Redivivus

Niegdyś, za beztroskich, warszawskich czasów, jedno, nie najpodlejsze piśmko stolicy miało stałą rubrykę: „Szukamy się wzajemnie”. W dziele tym, nawpół matrymonialnych ogłoszeń, „Samotny wdowiec poszukiwał kapłanki domowego ogniska”, „Stęskniona lilia pragnęła spędzić urlop w górach, lub nad morzem wspólnie z sympatycznym młodzieńcem, wojskowi mile widziani”, bądź: „Separowany nie z własnej winy szukał w średnim wieku gospodyni do jednej osoby”. Szukali się tak wzajemnie sportowcy z manikurzystkami, emerytki z fryzjerami, lub dentyści z właścicielkami spożywczych sklepików. Za pośrednictwem rubryki „Szukamy się wzajemnie” brukowego pisemka pisywali do siebie adresując dla: „Ziutka”, „Samotnej”, „Złamanego Serca”, „Rozbitka”, bądź innej „Pieszczotki”.

Działo się to za minionych, przepięknych dni, gdy nawet ci skrzywdzeni przez los, zawiedzeni i opuszczeni oddychali pełnią swobody i radości życia. Później, w pierwszych latach wojennej zawieruchy, po całopaleniu Września, klęsce Francji, wywózkach w głąb Niemiec, rozproszeniu po bezkresach Rosji drukowane dorywczo spisy zaginionych stanowiły swoistego rodzaju tragiczną rubrykę „Szukamy się wzajemnie” krewnych i przyjaciół. Z gazetek ściennych, lub ręcznie odbijanych biuletynów odczytywaliśmy wglós pierwsze wiadomości o Narviku, Tobruku, odysei „Orła”, Eskadrze 303. Na przyczach zatłoczonych baraków, zbici wokół żelaznych piecyków dusznych izb przejściowych, rozbieganym wzrokiem ścigaliśmy nazwiska pozostałych w Kraju najbliższych. Wówczas to, w wydawanym przez ambasadę polską w Kujbyszewie czasopiśmie „Polska”, w artykule: „Straty kultury polskiej”, poświęconym zmarłym artystom wyczytałem nazwisko Gałczyńskiego.

Konstanty Ildefons Gałczyński jeden z założycieli poetyckiej grupy „Kwadranga”, autor poematu buffo: „Koniec Świata”, surrealistycznej powieści: „Porfirion Osiełek” i tuż przed wybuchem wojny wydanego zbioru najprzedniejszych wierszy, wielki, dynamiczny talent samorodny, stanowił klasę sam dla siebie. Liryki jego jak zarówno fraszki i satyry oryginalne w formie i niespodziane w poincieniu niemal zawsze były rewelacją artystyczną. Wiersze takie, jak: „Muzeum Chopina”, czy „Skumbrie w Tomacie” nie posiadały pierwowzoru w poezji i satyrze polskiej.

Nowość wierszy Gałczyńskiego porwała za sobą młodych, którzy pod mniej lub więcej nieświadomym jej wpływem i urokiem wstępowały na trudne ścieżki poezji.

W artykule kujbyszewskiej „Polski” pochowano go wówczas we wspólnym grobie rodzinnym poetów, malarzy i aktorów. Dopiero znacznie później Zygmunt Nowakowski w „Wiadomościach Polskich” nadał z Londynu, że Gałczyński żyje, znajduje się jednak w osławionym obozie koncentracyjnym w Dachau. Wiadomość ta, aczkolwiek prostująca pogłoskę o śmierci autora Porfiriona Osiełka — nie była przecież radosna. Dachau bowiem, gdzie zmarło tysiące najlepszych Polaków, był to obóz bez wyjścia, w którym pobyt, równy powolnemu konaniu w męczarniach, był od śmierci straszniejszy. Od wzmianki w londyńskich „Wiadomościach Polskich” upłynęło dwa lata, a o Gałczyńskim nie było znaku

życia. Po tej więc ekshumacji dokonanej przez Nowakowskiego, znajomi i przyjaciele pogrzebali Gałczyńskiego poraz wtóry. Tadeusz Sowiński, duchowe dziecko ojca „Końca Świata”, w swym debiucie poetyckim: „Zwrotnik Wilkołaka” poświęcił wiersz Gałczyńskiemu, a raczej jego świetlanej pamięci, pisząc:

*Włec jesteś już po tamtej
Kueferlinowskiej stronie.
Za Tobą Anin, piekto, Dante,
Koniec.*

*Nic mi nie zapisałeś
I cała
Scheda przy blasku świec,
Testament Twój szalony,
Bramy, księżycy, gnomy
Dla komet.
Dla mnie nic.*

Osobiście nie wiem dokładnie, co to jest owa „küferlinowska strona” i podejrzewam, że autor również nie mógłby jej objaśnić. Nie trzeba jednak zbytnej inteligencji, ni bystrości, by zgadnąć, że miał on na myśli drugi brzeg Styksu, tereny lepszego świata, czy inną Nirwanę, leżącą poza podłużnym pudłem ponurego trumniszczka. Podzwonne w „Zwrotniku Wilkołaka” było jeszcze jednym gwoździem do wyżej wzmiankowanej skrzyni, w której już na mur i na wieki miał wylegiwać się Konstanty Ildefons, autor przezabawnego wiersza: „Moczmy Nogi”.

Jednej satanistycznie hamsinowej środy spotkałem na Środkowym Wschodzie pewnego szpakowatego, szczupłego faceta, popularną niegdyś posturkę na literackich zebraniach, wieczorach autorskich i artystycznych pijaństwach. Olaf, bo takie właśnie ma imię, który był modelem portretu Jakuba Katzewa we „Wspólnym Pokoju”, głośnej powieści Unikowskiego, jaka kiedyś narobiła mnóstwo hałasu i skandalu, był w swoim czasie powiernikiem, najserdecznym kompanem, współlokatorem i wielokrotnym wierzyicielem Konstantego Ildefonsa.

Olaf również nie miał wątpliwości, że Gałczyński podzielił los ofiar niemieckich obozów bezpowrotu. Wypiliśmy przeto wspólnie na intencję Konstantego dużo i dokładnie, opowiedzieliśmy sobie nawzajem wiele jego anegdot i kawałów autentycznych i zmyślonych oraz odśpiewali przedziwną piosenkę jego pióra: „Kokainę” do muzyki właśnie tegoż Olafa. Wówczas to przyszło mi na myśl, że właściwie powinienem napisać wspomnienie o Gałczyńskim, jak to po raz pierwszy spotkałem się z nim w redakcji satyrycznego tygodnika „Cyrulik Warszawski” o nieśmiertelnym zawołaniu Beaumarchais: „Śmiejemy się, kto wie, czy świat potrwą jeszcze trzy tygodnie”.

Felieton mój pod tytułem: „Konstanty po raz pierwszy” wywołał wkrótce niespodziany oddźwięk. Piotr pisał mi z Włoch:

*„O Gałczyńskiego nie martw się.
Spotkałem tutaj jedną prześliczną pannenkę, która walczyła w Armii Krajowej. Biedactwo straciła rękę. Mówiła mi, że była w jednym obozie z Konstantym. Chłop trzyma się. Nad poetami i pijakami bogowie czuwają”.*

Po tym liście od przyjaciela, do redakcji nadeszła ktoś pismo z Anglii, donosząc:

„...po kapitulacji Armii Krajowej w Warszawie znalazłem się w październiku 1944 r. jako jeńiec niemiecki w obozie Stalag XI A, Altengrabow bli Magdeburga. Znajdował się tam Gałczyński, jako jeńiec z kampanii wrześniowej 1939 r. Był on tam w szeregach szeregowca (?) i sprawował

funkcję tłumacza w szpitalu obozowym (Lagerlazarett A). Przypadkowo później poznałem go bliżej. W lutym 1945 roku został on z tej funkcji usunięty i wystany na tzw.: „Arbeitskommando”, czyli jeniecką placówkę pracy. Przy czyni usunięcia i nazwy tej placówki nie znam, gdyż przebywałem wtedy w innej, osobnej części obozu. Sam Stalag XI A dostał się później w ręce armii sowieckiej”.

List ten pokazałem Olafowi. Z radości znów udaliśmy się do knajpy i wypiliśmy za zdrowie emigranta powracającego z „küferlinowskiej strony”. Po którymś jednakże kieliszku Olaf melancholijnie zauważył, że jeśli Konstanty istotnie wpadł w łapy czerwonej armii, to z jego poglądami i przeszłością, światło zorzy polarnej i Puszkiniowskie białe noce — zapewnione. W lipcowy wieczór afrykański

przebiegł nam po grzbiecie syberyjski mróz byłych uczestników wycieczki „Po słońce północy bez wiz i paszportów”.

Aż wreszcie, ostatnio, nadeszła tym razem zupełnie pewna radosna wiadomość, że Gałczyński jest zdrow i cały. W żywo redagowanym piśmie Pierwszej Dywizji Pancerniej: „Defilada” podano, iż Konstanty żyje i przebywa w jednym z obozów polskich w Niemczech. Od początku wojny był on w niewoli. Za ostry list protestujący przeciw przymusowemu zamienianiu żołnierzy polskich w robotników niemieckich został wcielony do kompanii karnej.

Wiadomość ta poparta została nie budzącym wątpliwości dowodem. Dołączono do niej bowiem wiersz, który mógł napisać tylko Konstanty Ildefons Gałczyński.

PIEŚŃ O FLADZE

*Jedna była... gdzie? pod Tobrukiem.
druga była... hej! pod Narvikiem,
trzecia była pod Monte Cassino,*

*a każda jak zorza szalona
biało-czerwona, biało-czerwona!*

*czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.*

*Zebrały się nocą flagi,
flaga fladze dodaje odwagi:
— No, nooo, nie bądź taka zmartwiona:*

*Nie pomogą i noce piekła,
jam ciebie, tyś mnie urzekła,
nie zmogą cię bomba ni złotem
i na zawsze zachowasz swą cnotę*

*i nigdy nie będziesz biała
i nigdy nie będziesz czerwona,*

*zostaniesz biało-czerwona
jak wielka zorza szalona,*

*czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.*

*Tak mówiły do siebie flagi
i raz po raz strzelił karabin,*

*zrobił dziurę w czerwieni i w bieli,
lecz wołały flagi: — Nie płaczcie,*

*choćby jeden strzępek na maszcie,
nikt się zmienić barw nie ośmieli!*

*zostaniemy biało-czerwone
flagi święte, flagi szalone!*

*Z pod Tobruku i z pod Murmańska,
niech nas pędzi dola cygańska,*

*zostaniemy biało-czerwone,
nie spoczniemy biało-czerwone,*

*czerwone jak puchar wina,
białe jak śnieżna lawina,
biało-czerwone.*

*O północy, przy zielonych stolikach
modliły się diabły do cyfr,*

*były szarfy, orderzy i muzyka
i stukał tajny szyfr.*

*Diabły w swoim sercu głupiem, bo
niedobrem
rozwiązywały biało-czerwony problem.*

*Łkała flaga: — Czyżem powinna
zginąć, bo — jestem inna?*

*że nie taka... dyplomatyczna,
że — tragiczna, że — nostalgiczna,*

*ta od mgieł i od tklivej rozpaczki
i od serca, które nic nie znaczy,*

*flaga jak ballada szopenowska,
co ją tknęła sama Matka Boska.*

*Ale wtedy przyszła dziewczyna
i uniosła flagę wysoko,*

*hej! wysoko! ku samym obłokom!
jeszcze wyżej! gdzie się wszystkie
zapomina,*

*jeszcze wyżej, gdzie jest tylko stawa
i Warszawa, moja Warszaw!*

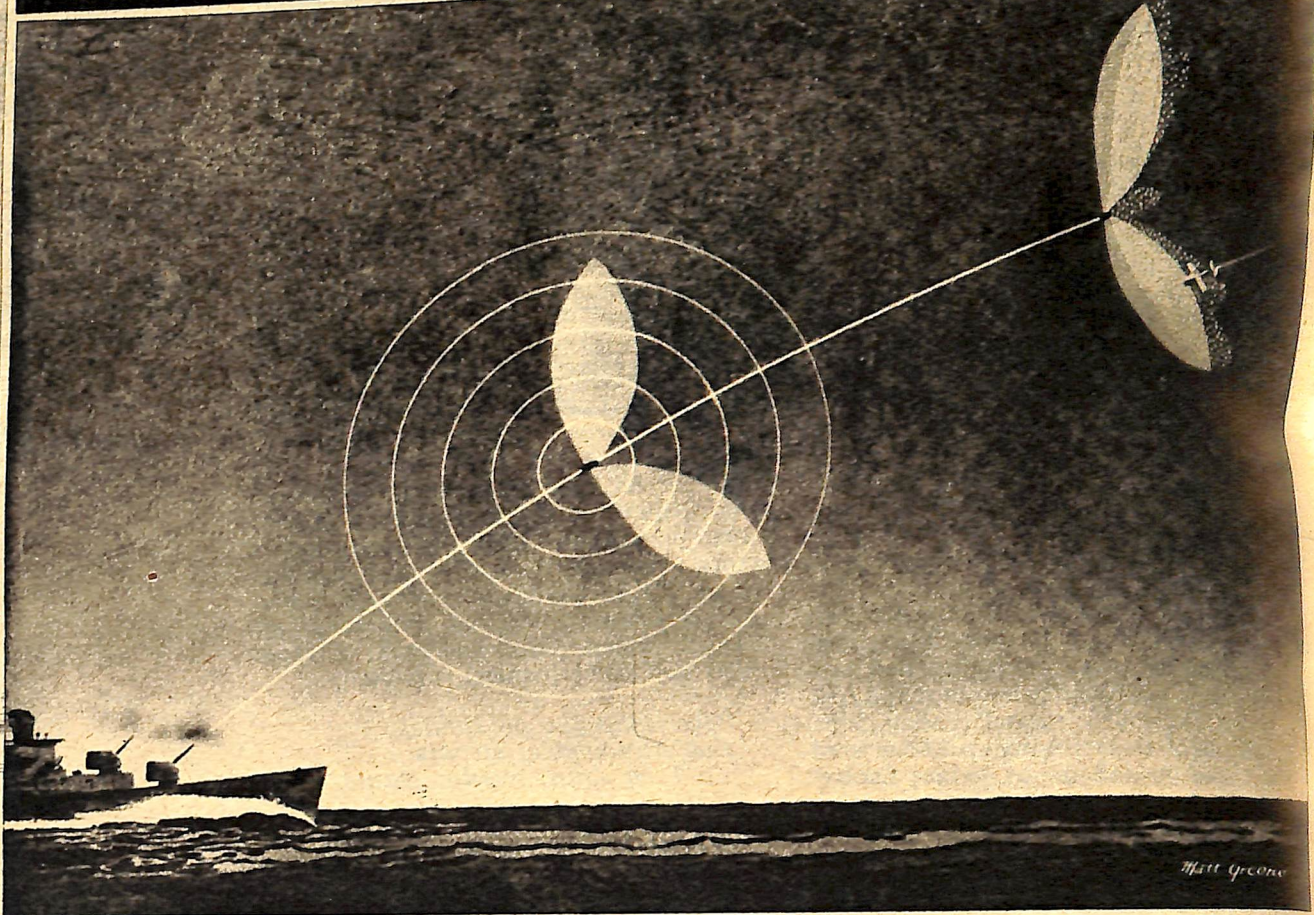
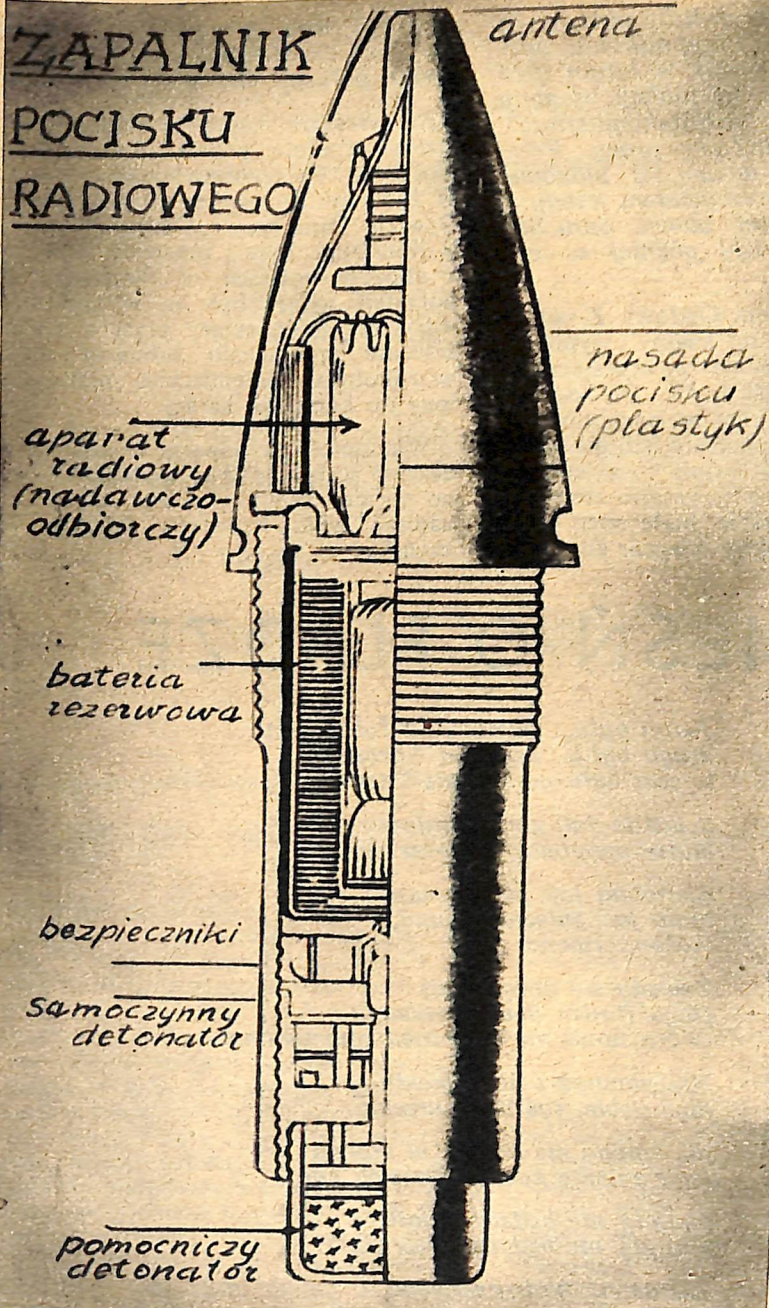
*Warszawa jak piosnka natchniona,
Warszawa biało-czerwona,*

*czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,*

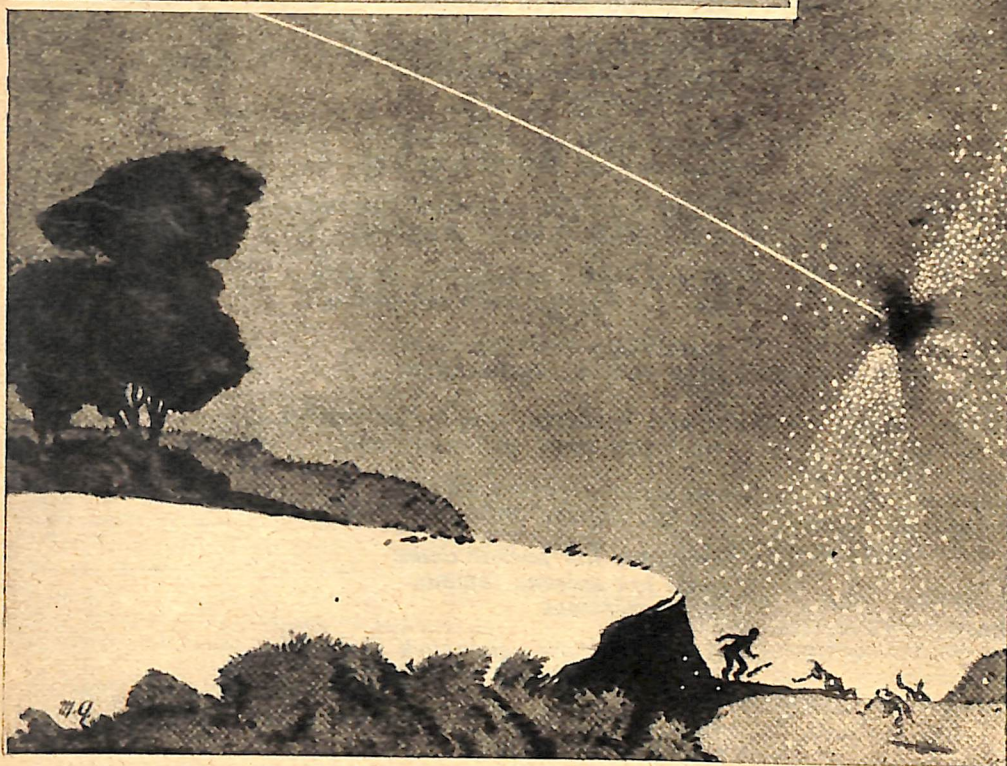
*biało-czerwona,
biało-czerwona,
ohaj! biało-czerwona.*

Piotr miał świętą rację. Nad poetami bogowie czuwają.

POCISK RADIOWY



Samolot w zasięgu fal pocisku radiowego powoduje jego wybuch. Na rysunku — białe koła oznaczają wibrację fal, wycinki koła — zasięg pola rażenia



Pocisk szrapnelowy z zapalnikiem radiowym skutecznie zwalcza piechotę, nawet znajdującą się za zasłoną terenową

Wśród ujawnionych ostatnio tajnych broni, które zaważyły na przebiegu końcowego okresu wojny, poczesne miejsce na równi z bombą atomową i radarem zajmuje pocisk z zapalnikiem radiowym. Wynalazek ten pomysłowością i precyzją przewyższa wszelkie, najbardziej podziwu godne osiągnięcia techniczne ostatnich lat.

Pocisk radiowy rewolucjonizuje obronę przeciwlotniczą, jak i dotychczasowe możliwości zwalczania piechoty ogniem szrapnelowym. Wystrzelony ze zwykłego dział, wybucha samoczynnie nad celem, znajdującym się w bliskim zasięgu jego toru. Zastępując pociski z zapalnikiem czasowym i wybuchając jedynie nad obiektem stałym — usprawnia siedmiokrotnie zwalczanie celu.

Pocisk ten, 15 cm. długości (istnieją i inne kalibry), posiada mikroskopijną instalację radiową, z lampką wielkości zaledwie kilkunastu milimetrów. Radiostacja jest nadawczo-odbiorcza. W środku pocisku jest umieszczona bateria, która zaczyna działać w chwili, gdy pocisk znajduje się w locie. Zasada prosta: próbka z elektrolitem włożona do baterii pęka na skutek wstrząsu, spowodowanego odpaleniem i płyn ożywia płytki. Aparat radiowy rozpoczyna działać wysyłając w przestrzeń fale z szybkością

światła (300.000 km. na sek.). Fale te zostają odbite od obiektów metalowych i odbierane przez stacyjkę odbiorczą pocisku. Wystarczy, aby pocisk znalazł się 30—40 mtr. od celu (myśliwiec, dział, piechota maszerująca z bronią), aby nastąpił samoczynny wybuch. Jeżeli pocisk w swym locie nie napotyka celu, wybucha jak normalny pocisk artyleryjski — za pomocą dodatkowego zapalnika.

Podobne radiowe urządzenia odpalające były przez aliantów instalowane we wszelkiego rodzaju pociskach, bombach i bombach latających. Dzięki nim zwalczano skutecznie niemieckie bomby latające V 1, kontrofensywę gen. Rundstedt'a w Ardenach i japońskie samoloty „samobójcze”.

Wynalazcami pocisku radiowego są uczeni angielscy: dr. Wiliam Butement — asystent dyrektora Biura Badań Naukowych Min. Wojny i dr. E. S. Shire z Biura Badań Obrony Lotniczej tegoż ministerstwa. Trzecim współwynalazcą jest znakomity uczyony dr. F. G. Thomson.

Na realizację wynalazku i jego produkcję wydała Ameryka 800 milionów dolarów. Produkcja w końcowej fazie wojny sięgała do 1.200.000 pocisków miesięcznie.

J. K.

PŁYWAJĄCE CZOŁGI

Pływające czołgi dla inwazji Europy, znane jako DD, były planowane bezpośrednio po ewakuacji Dunkierki. Czołgi

te, przeznaczone do wspierania nacierającej piechoty, podczas operacji lądowania mogą być spuszczone na wodę z łodzi desantowych.

Czołgi DD Valentine (z obręczami elastycznymi, do których tłoczy się powietrze) przed załadowaniem na łodzi desantowe

dzi desantowych. DD trzyma się dobrze na burzliwym morzu, a po osiągnięciu płytkich wód, zdolny jest do działań zaczepnych.

Użycie czołgów pływających DD na wybrzeżach Normandii zaskoczyło nieprzyjaciela.

Czołg DD Valentine opuszcza łódź desantową w odległości 3 km od wybrzeża — podczas ćwiczeń w Anglii przed dniem D

